



<http://rcin.org.pl>

POEZYE.

ZET. — EM.

POEZYE.

„Lecz zaklinam niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec,
A gdy potrzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie, przez Boga rzucone na szaniec...”

(J. Słowacki. „Testament“).

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63

W KRAKOWIE

NAKŁADEM I CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ

POD ZARZĄDEM A. SZYJEWSKIEGO

1902.

<http://rcin.org.pl>



ELEGIA

na śmierć nieodżałowanej pamięci WŁADYSŁAWA HR. SCIPIONA
zgasłego w 22. roku życia w Krakowie.

Był sercem rodziny, a duszą młodzieży...
Słoneczny jak wiosna, pogodny i świeży,
Gdzie tylko się zjawił, swój uśmiech zostawił
I smutki rozpraszał wśród grona.
Bo wesół był zawsze i jaśniał urodą,
A twarz miał anielsko pogodną i młodą,
Jak błękit przeźroczy tak jasne miał oczy,
I rysy rzymskiego Scipiona.

Choć rodem się mierzył z pierwszymi magnatą
I bliższe mu były pałace niż chaty,
On wierzył wraz z nami, że Polskę nie sami
Do chwały powiodą magnaci.
Więc lud nasz wieśniaczy ukochał i z trudem
Usuwał przesady bratając się z ludem
I wierzył w to śmieie, że kiedyś na czele
Narodu, lud stanie wśród braci.

Więc zwijał się wszędzie ruchliwy i czynny,
Jak mąż pełen siły, jak dziecię niewinny,
A szczerzy jak złoto – niósł pomoc z ochotą
I pracą nas wspierał tak szczerze!..
O Władku! Czy kiedy w zebraniu wesołem,
Gdy złote marzenia roiliśmy społem,
Czy tknęło którego, że ciebie kolego
Tak straszna śmierć Polsce odbierze?...

I pocoś, o Władku nam serca rozkrwawił
Rozpaczą bez miary i samych zostawił?..
Wszak praca ogromna – nas garść taka skromna
A Bóg dzielnych duchów nam skąpi. –
Pójdziemy w bój dalej, lecz mniejszą kolumną
I smutni, bo pewni, że grabarz z tą trumną
Nadzieję nam grzebie, gdy widzimy, że Ciebie
W szeregu już nikt nie zastąpi!...

Kraków, grudzień 1892 r.



ELEGIA

(na śmierć ś. p. IGNACEGO TELIGI oficera z r. 1831 pochowanego dnia 14 stycznia 1893 r. w grobowcu poległych za Ojczyznę, na cmentarzu tarnowskim).

Dzwon katedralnej wieży jęk wydał stłumiony
I naraz wszystkie w mieście zajęczały dzwony
Smutnym, żalobnym dźwiękiem. Ludu rzesza tłumna
Dąży na cmentarzysko... na ich czele trumna!...
Jej czarne, zdala widne, metalowe wieko
Kryje starca z włosami białymi jak mleko,
Z twarzą piękną, pogodną... Leży uśmiechnięty,
W białych skostniałych palcach dzierząc obraz święty,
Taki cichy, spokojny, jakby spał w mogile —
Tylko, że już na wieki... Ale były chwile
Przed sześćdziesięciu laty, gdy tą dłonią białą,
Dzierżył lont zapalony lub kierował działą,
Albo rozkazy dawał wznosząc ją wysoko...
Dzisiaj martwe te dłonie i mgłą zaszło oko...
Lecz wtedy w dniach tryumfu to oko świeciło
Poświęceniem bez granic, energią i siłą

I jakąś dumą wielką, którą uczuć może
Ten tylko, komu w duszy płoną ognie boże,
Kto z życia swego złożył ojczyźnie dar krwawy
Dla miłości i wiary, nie dla pustej sławy.
Walczył, bo kochał Polskę; a gdy ich rozbito,
Za oceany poniósł duszę niepożyłą,
Niezlamaną cierpieniem, pełną siłnej wiary,
Że się jeszcze zaciągnie pod polskie sztandary,
Że wróci i że zbierze sił swoich ostatki,
By je oddać dla Polski, dla Ojczyzny-Matki...
Bóg mu nie dał; snąc uznał, że dość ma już boju,
Więc powołał do siebie, by wytchnął w pokoju
Tam, gdzie nieznane walki, klęski i rozpacz,
Więc powołał i przymknął powieki tułacz...

Przebrzmiały psalmy księży... trumnę kładą w lochy.
Gdzie rycerzy wolności spoczywają prochy,
Gdzie w głuchej ciszy leży szereg trumien bratnich,
Ma spocząć on — bohater, już jeden z ostatnich!...

.
Umarły starcze! Z wiarą zasnął Ty w Panu,
Więc leż spokojny w ciemnej głębinie kurhanu.
Choć nas tu boleść wielka głuży i oniemia,
Leż cichy — i niech lekką Ci będzie ta ziemia,

Po którejś dawniej stąpał jako legionista
I krwią swoją oblewał – to ziemia ojczysta!
Tylko wicher cmentarny niech kłóci tę ciszę
Szumiąc koło grobowca i niech Cię kołysze
Piosenką o rycerzach śpiących, co swe trumny
Burzą, gdy kraj zawoła, gdy żywe kolumny
Szukając bohaterów, na groby przychodzą
Budzić wielkich umarłych i iść pod ich wodzą...
Lecz teraz... od hałasów zdala i od krzyku,
Śpij spokojnie, Ty biedny polski męczenniku!...

Tarnów, styczeń 1893 r.



KWIAT RÓŻY.

Tyś mówiła, że to kwiecie
Róży, którąś dała mi,
W ciemne życie moje wplecie
Wiele jasnych, błogich dni;

Więc zabrałem je ze sobą,
Gdym w daleki ruszał świat;
Był mi dumą i ozdobą
Ten różowy, wonny kwiat.

A choć później zeschłe szczątki
Utraciły blask i woń,
Jam nie rzucał tej pamiątki,
Bo ją twoja rwała dłoń.

Nieraz świat mi stawał głazem,
Walką trzeba było iść,
Ale dla mnie drogowskazem
Był ten suchy róży liść.

Bo myślałem, że w podziękę
Za wrócone listki te,
Ty mi oddasz swoją rękę,
Swoje serce, życie swe.

Dziś wróciłem – mam na skroni
Lauru wieniec, sławy znak...
Czemuż uścisk twojej dłoni
Obojętny, zimny tak?

Widzisz – kwiat chowałem wiernie,
Choć mu barwa spęzła z lic,
Opadł liść, zostały ciernie,
Ciernie jeno, więcej nic...

Patrz – u stóp twych wieniec leży,
Laury w hołdzie rzucam ci...
Daruj wzamian kwiatek świeży,
Dawne słowa powtórz mi.

Nie? – Więc miłość twoja czysta,
Moje szczęście, skarby, świat,
Tak jest krucha i ciernista:
Jak ten blady, zwiędły kwiat?...

Lwów, luty 1893 r.

MEMENTO.

Na szczycie góry, wyższy nad brzozy,
Które go wieńcem oplotły wkoło,
Pełen uroku tajemnej grozy,
Bielański klasztor wznosi swe czoło.
Nad wierzchy lasów, nad chmur powodzie,
Oblana słońcem wieża wyblęsta
I taką złotą odbija w wodzie
U stóp klasztoru szemrząca Wisła.
Wiosna ją właśnie rozkuła z lodów,
Więc toczy fale dumna, radosna,
Z obrazem lasów, pól i ogrodów,
Wśród których płynie, sama jak wiosna.
Las szumi gwarem. Rój złotych muszek
Brzęcząc wesoło, wśród krzewów lata,
Skowronek śpiewa, w dali pastuszek
Nućąc, ze słomy koszyczki spleta.
Cała przyroda wonna i świeża,
Dziękczynnym hymnem w niebo uderza.

Tylko w klasztorze głucho – tam życie
Ścichło i wrzawa zamarła pusta ;
Każdy, kto tutaj chodzi w habitach,
Pieczęć milczenia włożył na usta
I tak zamknięty w smutku i ciszy,
Jakby go żywcem w grobie zamknięto,
Nawet swych braci głosu nie słyszy,
Oprócz jednego słowa:

– M e m e n t o ! –

A Wisła szumi... Igrała we dnie
Z promieniem słońca, z wiatru powiewem,
Teraz wiatr ucichł i promień blednie,
Więc bór bielański już nie brzmi śpiewem
I wkoło cisza legła grobowa.
Dziwi się polskich źródeł królowa
I marszcząc gniewnie błękitne lica,
Na las sosnowy patrzy kapryśnie;
Raz białą pianą ku niemu ciśnie,
To piersi wydymie jak zalotnica
I tak wpatrzona w mury klasztoru
Słucha i słucha, czy z piersi mnicha
Wydarta skarga nie zabrzmie z cicha,
Czy jęk nie zmąci ciszy wieczoru.
Lecz klasztor milczy. Smukła wieżycza

Ku niebu szyć białą wyciąga
I osrebrzona blaskiem księżycy,
Wiśle i światu dumnie urąga. —

W klasztorze ciemno; już po wieczerzy
Na twarde łoża kładą się mnichy,
Ostatni tylko kląkł do pacierzy
I szepce modły posępny, cichy...
Przez okna promień księżycy wpada
Do celi mnicha — on powstał korny...
I długo, długo ta postać blada
Stała oparta o mur klasztorny.
Marzył zakonnik — we śnie uroczym
Dumał... Bóg tylko chyba wie o czem...
Może o świecie...

A bór sosnowy
Siał wkoło niego wonie i szumiał
Jakiemiś szepty, dźwięki i słowa...
Mnich zadrżał — mowę lasu zrozumiał...
To tym, co w życiu zgrzeszyli pychę,
Mnichom, co mieli duszę nieświętą,
Bory bielańskie śpiewały cicho,
Na swoją nutę straszne:

— M e m e n t o

M e m e n t o m o r i ! ...

A Wisła?... Szumi... Płynąc w dolinie
Okrąża miasta, chatki i dwory,
Jak dawniej szumi sobie i płynie
Przez jedną ziemię, przez trzy zabory.
Wśród pól zielonych, dolin i jarów
Płynie i słucha szmeru dąbrowy,
Szelestu zboża i ludzkich gwarów,
Bo zna już dobrze dźwięki tej mowy.
Lecz znów się dziwi: – płynie przez łany
I widzi – lud jej taki ochoczy
Tak wesół dawniej, dziś zapłakany,
Co chwila łzawe podnosi oczy
W górę, ku jasnej nieba światłości,
Jakgdyby stamtąd zebrał litości.
Kapryśna Wisła ścierpieć nie zdoła,
Gdy jej kto smutne lica pokaże,
Więc szumiąc dalej płynie wesola
Do miast, by spojrzeć w radosne twarze.
Tu nieco raźniej – wśród tłumnej rzeszy
Znać ruch i życie jak wśród mrowiska,
Lecz i tu, naród niby się cieszy,
A dawna radość z ócz mu nie tryska.
Wisłę ten smutek gniewa i nudzi,
Chce się dowiedzieć czegoś od ludzi,
Więc łowi dźwięki zmieszane w tłumie,
Słucha i słucha, lecz nie rozumie...

Bo jakoś dziwnie brzmi jej ta mowa;
W ojczyście dźwięki, tak dla niej cenne,
Obce się jakieś wmięszwały słowa,
Twarde, od mowy polskiej odmienne...
I ludzie chodzą posępni, cisi,
Jak ci w bielańskim klasztorze mnisi.
Dawniej tu gwar był taki wesoły,
Na miejskim bruku, po wsiach, na łanie,
Dziś jedną pieśnią jęczą kościoły:
— Ojczyznę, wolność powróć nam Panie! —

Wiśła królowa dość już widziała.
Od Babiej góry aż do Bałtyku
Nigdzie uśmiechu, nigdzie okrzyku!
Więc płynie dalej chmurna, wspaniała,
Błękitne fale toczy wśród jarów,
Czasem się z wichreń łagodnie pieści,
Tylko już ludzkich nie słucha gwarów,
Ani jak złote zboże szeleści...
Cicho, spokojnie, w Bałtyk się chowa
Pełna uroku Wiśła królowa.

Lecz każda fala, nim wpadnie w morze,
Szumi dla obcych pieśń niepojętą,

Pieśń zasłyszana w bielańskim borze,
Despotyzmowi straszne:
— Memento,
Memento mori!...

Lwów, luty 1893 r.



ONI.

Słów miłosnych tam nie było;
Na cóż mówić jeszcze mieli,
Kiedy sobie powiedzieli
Słów tysiące wzroku siłą
I rąk ciepłych uściśnieniem
I uśmiechem i – milczeniem...

Bo gdy w oczy raz spojrzeli,
W głębi duszy czuli skrycie,
Że ich wielka przepaść dzieli,
Niezgłębiona, tak jak życie,
Przepaść świata czczych poglądów,
Pychy ludzkiej i przesądów.

Więc milczeli – nawet w chwili,
Gdy żegnając się z rozpaczą
Dłonie swoje połączyli
Pewni, że się nie zobaczą,
Że los dole ich rozniesie,
Jak dwa listki wicher w lesie.

Lecz choć losy toń ogromną
Między nimi położyły,
Oni w wierze czerpią siły,
Że o sobie nie zapomną,
Że Bóg dłonie znów im splecie
W jakimś innym, lepszym świecie...

Lwów, luty 1893 r.



MAŁY KAPRAŁ

Burza... Gdzie spojrzeć, sine, morskie wały
Kłębią się, wichrzą i huczą jak gromy
I lecą, lecą... uderzą o skały,
O granit, skruszą, rozbiją w atomy...
Nie – głaz się oparł... tylko wód odmetry
Grzbiet jego pianą szumiącą okryły,
Że cały w bieli, zimny, lecz niezgięty
Stoi jak posąg milczenia i siły.
Odparta fala jak ranna pantera
Rzuca się, pieni i siły swe zbiera
I grzbiet swój giętki do skoku najeża
I ryczy wściekła – i znowu uderza...
Jeszcze odparta – zniża się, pochyla,
Drży zawieszona u posad granitu,
Lże mu stopy... lecz to tylko chwila...
Nagle z łoskotem, podobnym do zgrzytu,
Z rykiem, głuszającym poświsty orkanu,
Śnieżystą pierśią od skał się odtrąca,
Zgarnia ku sobie fale oceanu
I taka straszna, olbrzymia, kipiąca

Stoi przez chwilę, czołem w chmury sięga,
Jakby w przymierze wejść chciała z obłokiem...
I patrz... po niebie leci jasna wstęga
Nieregularnym, błyskawicznym skokiem,
W ślad za nią druga i trzecia i czwarta,
Wszystkie krzyżowym błyskają ognikiem,
Aż chmura w strzępy iskrami podarta
Gniew swój przeciągłym oznajmiła rykiem...
Oba żywioły złączyły swe dłonie:
Morze falami, niebo ogniem zionie...

Z krzykiem przestrachu stworzenie się kryje
I nawet orzeł, król ptaków zuchwały
Ucieka, trwożnie wyciągając szyję
W swoją kryjówkę, gdzieś u szczytu skały.

Na złomie głazu, nad szarym granitem,
Gdzie straszne fale tęczą się ze zgrzytem,
Sam jeden tylko stanął blady człowiek.
Widać od orła w odwagę bogatszy,
Bo stanął w miejscu i nie mruży powiek,
Ręce na piersiach skrzyżował – i patrzy...
O, bo nie tobie dziki oceanie
Zmusić to oko do trwożnego błysku,
Ani wam gromy przez huk i strzelanie
Zgiąć dumne czoło na tym skał urwisku,



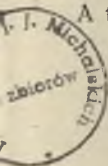
Nie wam!... Widzicie – na tej bladej twarzy
Żar jakiś wykwitł i lica zrumienia,
Usta się śmieją i oko się żarzy
Jakimś płomieniem dumy i natchnienia.
Ten bój, co ziemię z posady wyrusza,
To jego żywioł – walka go nie nuży...
W bojach wykuta ta niezłomna dusza,
W gromach i wichrach – on chowany w burzy!...
Jak wy niebios a i ty, oceanie,
Miał w służbie fale, grom na zawołanie...
Na jego rozkaz stawały miliony
I wojsk falangi, żądzą chwały wrące;
Na jego rozkaz chyliły się trony,
Spadały berła, grzmiało dział tysiące.
Był widmem wojny – Europie wrogiem,
Ojczyźnie władcą, wojsku swemu bogiem.
Dziś upadł. – Ludy Europy drżące,
Pozbawionego tronu i znaczenia
Władcę, wygnały, hen o mł tysiące,
Na pustą wyspę, w groby zapomnienia...
I zapomniano. – Straszna wrzawa wojny
Ucichła nagle, zamilkł brzęk pałaszy,
Lud się do pracy zabiera spokojny,
Matka korsarzem swych dzieci nie straszy,
Zda się, że ciszy już nic nie naruszy...
Tylko tam burza, w głębiach jego duszy

Wreć będzie wiecznie, póki wyrok boży
Ziemskiemu życiu kresu nie położy...
Nie długo czekać. Już na jego licach
Gorączka straszne wypaliła znaki,
Spiekła mu wargi; w oka błyskawicach
Znać siłę ducha, lecz sił ciała braki.
Oprócz choroby targa nim i miota,
Ze wszystkich cierpień najsroźsza: – tęsknota...
Tak, bo on tęskni... Choć oko siepaczy
Nigdy w tej twarzy nie dojrzy rozpaczy,
Ni żalu w rysach, które mistrzów krocie
Rzeźbiło w bronzie, marmurze i złocie,
On niemniej cierpi; tęsknota jak żmija
Serce mu kąsa – bezczynność zabija
Ruchliwe ciało. Wychowany w boju
Nie może znosić ciszy i spokoju;
Więc kiedy chmury nadchodzą zdaleka,
Wśród burzy szalu, gdy wszystko ucieka,
On wtedy idzie z uśmiechem na twarzy
Nad brzegi morskie – i patrzy i marzy...

Wiatr mu podmuchem zdarł kapelusz z głowy
Rozrzucił włosy i świszczce i szydzi,
Skała rozdarta gromem w dwie połowy
Grozi mu śmiercią. – On patrzy – nie widzi...
Nie może widzieć... Wzrok płonący żarem

W jeden punkt wlepił i twarz mu pobladała...
Tam, gdzieś w oddali, na nieba tle szarem
Widać olbrzymie, niezziemskie widziadła.
On je poznaje – poznaje w tych marach
Swe dzielne pułki, które wiódł do chwały
I srebrne orły na krwawych sztandarach
I blask bagnetów i szańce i wały...
Tak, tak... To oko nigdy go nie zwodzi,
Sokole oko!... Patrzy się zdumiony,
Nateęza ucho... Jak fale powodzi
Płyną ku niemu szeregi, legiony,
Rosną w dziesiątki, seciny, tysiące...
Już widać wodzów złote epoety,
Lanc chorągiewki i armat lawety
I pióropusze na hełmach wiejące...
Wszystko się mieni, połyska i wiąże
W jeden sznur długi, błyszczący, olbrzymi.
Przodem gwardziści... Na koniu przed nimi
Pędzi wódz... Któż on?... Ha, to Moskwy księżę,
Najwaleczniejszy z walecznych... Koń parska
Na dobrą wróżbę, a za nim od złota
Lśniące szeregi – to gwardya cesarska,
Sztab, kirasyerzy, sapery, piechota...
Cesarz drży, blednie, serce mu kołacze,
I nagle z krzykiem wyciągnął ramiona:
– Hej wiara moja! Hej starzy rębacze!

Do mnie, tu do mnie, do Napoleona!...
I jako dawniej, w wojennej zamieci,
Ten głos, co zawsze budził w sercach drzenie,
Równie potężny grzmi teraz i leci
Gdzie wojowników stoją groźne cienie...
Już dosłyszeli... Wzrok ich gromy ciska,
Oblicza w srogie poorane blizny
Dyszają odwetem – straszliwe wąsiska
Sterczą, zsiwiałe w obronie ojczyzny...
To grenadyerzy!... On ich zna, wie o tem,
Że dojdą, wrogów uścielą pokotem.
Lecz wróg się broni... Na wzgórzach skalistych
Rozstawił działa i ognia lawinę
Zionie straszliwie... Z warkotem i świstem
Leci grad straszny kartaczy... Wyginą,
Wszyscy wyginą... Pułk jeden odparty,
Zdziesiątkowany i drugi rozbity,
Cofa się armia... Gdzież ci, co jak czarty
Na Samosierry wdzierali się szczyty,
Tułacze legie z nad Wisły i Warty,
Stare lwy polskie?!... Odeszli, zdradzili...?...
Jak Sasi, Szwedzi?!... Lecz cóż to?... W oddali
Migoce, niby rój krasnych motyli
Las chorągiewek... To oni!... Dotrwali!...
Choć świat się wyparł, dotrwali, wygnańce!...
A teraz lecą... W źrenicach im pała



Dziki żar męstwa... Już wpadli na szańce,
Sieką... czakami nakrywają działa...
Huk armat milknie... Na szczycie urwiska
Sztandar tułaczy łopoce i błyska!...

Wtem wicher zahuczał i w szalonym biegu
Wpada w legiony, w sam środek szeregu,
Rozpędza chmury, burzy mary wkoło
I cesarzowi chłodzi spiekłe czoło.

Ocknął się. — Z oczu spadła senna łuska...
Westchnął i znowu patrzy się na morze
W dal nieskończoną, gdzie ziemia francuska,
Gdzie złotą falą kołysze się zboże
I lasy szumią na brzegach Sekwany,
Gdzie ten kraj jego uroczy, kochany!...

Dawniej, gdy gonił za widziadłem złotem
Władzy i sławy nie chciał myśleć o tem,
Że w szale dumy zwycięskiej i bucie
Zatraci miłość i stępi uczucie...
Lecz dziś, po sześciu latach oddalenia,
Czuje jak silnie uderza mu serce
I jak z popiołów, iskra po iskierce
Powstaje ogień i jak rozplomienia
Duszę miłością dla tej biednej ziemi,

Której był władcą, a którą krwawemi
Dłońmi poplamił... O, gdyby wróciły
Jeszcze te lata młodości i siły,
Lata potęgi, jakżeby ich użył
Inaczej!... Jakby ojczyźnie swej służył!...

Burza już zmiłkła. Nad morzem, u szczytu
Głazów, połyska już rąbek błękitu.
Orzeł, któremu kryjówka już zbrzydła
Wyleciał z gniazda i rozpiął swe skrzydła
I buja... Orle, leć ty w kraj daleki
Nad ciemne bory, doliny i skały
Francyi ojczyzny, gdzie szumiące rzeki
Toczyły niegdyś krew i brzegi rwały...
Gdzie, miasto deszczu, wrzos każdy i kwiatek
Wypijał rosę łez tysiąca matek!
I powiedz orle wojsk jego drużynie,
Że wódz ich tęskni za nimi. i ginie
Z żalu za krajem... Lecz gdzie ci waleczni,
Z twarzą srogimi bliznami zoraną?!...
Historia kiedyś ich pamięć uwieczni,
Że jak tytany legendowe staną
W pamięci ludów, lecz teraz śpią sami
W nurtach Elstery, Odry, Berezyny,
Na błoniach Lipska, pod piramidami,
Od Gibraltaru do polskiej krainy!...

Gdzie tylko gnała ich cesarska wola,
Wszędzie grobauwi rozorane pola...
Z mogił nie wstaną, rozkazu nie słyszą,
Spią gromadami pod krzyżem kurhanu,
Ukołysani pokojem i ciszą...
Nikt tu nie przyjdzie z za fal Oceanu
Ni wieść przyleci. — Wróg sieci rozpina...
Na twardej skale trzeba złożyć kości,
Zdała od kraju, od Francyi, od syna!...
Ach!... Więc dla niego już niema litości
Bóg?!...

Cesarz w niebo wzrok rzuca bezwiednie,
W błękit świetlany pogląda... i blednie:
Bo mu się zdaje, że słyszy wołanie,
Głos jakiś groźbą i szyderstwem brzmiący:
— Bóg?!... Gdzieś go szukał Najjaśniejszy Panie!
Pogromco świata!?!... Gdzie?... Czy w fali wrącej
Krwii, którąś przelał, czy w Egipcie piaskach,
W śnieżycach Rossyi? — czy w tych złotych blaskach
Kadzideł, które ci palił świat cały?...
Teraz go wzywasz — dawniej był dla ciebie
Mamidłem tylko, gdyś był w słońcu chwały,
Dziś go uznajesz, boś sam jest w potrzebie!...

Cesarz chwil kilka stoi bładny, cichy,
Radby się ugiąć, ale resztki pychy,

Monarszej dumy burzą się mu w duszy.
Wszak oprócz siebie nie znał dotąd pana!
Dzisiaj ta pycha łamie się i kruszy...
Miłość ojczyzny zgina mu kolana...
Tak stoi drżący... Pierś mu rozpacz tłoczy
I sprzeczne myśli w duszy się mu ważą,
Nagle skroń schylił, spuścił w ziemię oczy
I jak dąb ścięty padł na prochy twarzą...
Przed Panem niebios, który włada niemi,
Korzył się w prochu pierwszy mocarz ziemi!

I długo leżał. Umiłkł głos piorunu;
Ponad falami krążyły jak gońce
Orły i mewy. — Z poza chmur całunu
Wybłysło złote promieniami słońce...
A on się korzył... Może prosił Boga,
By mu zdjął z głowy ciernistą koronę,
Może się modlił, by u Francyi proga
Mógł złożyć jeszcze swe kości strudzone,
Nim wróg je rzuci w mogiłę i zdepcze...
A może błagał, wznosząc korne dłonie,
Łaski dla syna, któremu w kolebce
Koroną rzymską przyozdobił skronie.

Powstał nareszcie. Widać Pan przestworzy
Wysłuchał prośby wielkiego grzesznika,

Bo oto z twarzy już rozpacz mu znika,
W obliczu świeci jakiś płomień boży
I ta twarz piękna, lecz chmurna i chłodna
Staje się dziwnie tkliwa i łagodna.
Spojrzał na niebo i na oceany
W północną stronę, gdzie w sinym obłoku
Skrzyła się Francya — i gość niewidziany:
Łza, jako perła błysnęła mu w oku...

Francyo!... Gdy składał zdobyte sztandary
Ten geniusz wojen u twoich podnóży,
Nigdy ci świętszej nie złożył ofiary
Od tej łzy jednej, co mu oko chmurzy!
Bo on potrafił twarz ukazać dumną
Swym hardym wrogom i stłumić rozpacz
I stanąć wielkim nad chwałą swej trumny,
Tylko twej straty znieść nie mógł — i płacze...

Lwów, marzec 1893 r.



DEMON.

I zawsze kiedy patrzę w te oczy,
Dziwny mnie jakiś owionie czar.
Czy gdy w nich lazur błysnie przeźroczy,
Czy gdy je smutku łezka omroczy,
Czy też miłosny zapłonie żar.

Tyle w nich dziwu, tyle uroku,
Tajonych uczuć nieznanym sił,
Że mi się zdaje, jakby w tem oku,
To w blask zaklęty, to w cienie mroku
Demon się jakiś piekielny krył.

Więc gdy jak rybak patrzę w ich tonie,
Miota mną razem i żal i złość,
Ból targa sercem, krew ogniem płonie...
Czyliż tak wiecznie będzie?... Demonie!
Błysków i czarów może już dość!...

Lwów, marzec 1893 r.

Pani E. M. w głębi Rosyi.

Kto pól swoich żyje wonią,
Mowy polskiej słyszy echa,
Komu tylko ponad skronią
Polskie słońce się uśmiecha:
Ten sił ducha nie utraci
Ani wiary, bo w potrzebie
Znajdzie pomoc dobrych braci,
Dobre serca wkoło siebie.
Takie życie w swoim gronie,
Na ojczystej drodzej niwie,
Cicho płynie i szczęśliwie,
Jako święty ogień płonie.
Ale kto na kresach świata,
Gdzie głos polski nie dolata,
Tysiąc mil od swojej ziemi
Między ludźmi żył obcemi
I ognisko stworzył własne,
Takie silne i tak jasne,
Że, choć samo wśród mrowiska

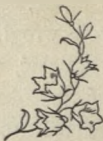
Wrogów, co je gaszą co dnia,
Płonie żywo jak pochodnia,
Cienie łamie, blaski ciska...
Kto tak życie umiał wieść,
Kto ma tyle mocy duszy,
Że nią wrogów siłę kruszy,
Temu chwała, mir i cześć!...

Polsko – jakaś ty szczęśliwa,
Jaka wielka! – W obcej ziemi
Takie matki masz, co swemi
Dłońmi kruszą twe ogniwa,
Szczepiąc w dzieciach swoich wiarę,
Miłość, cnotę i ofiarę,
Jakże ślepe Twoje wrogi,
Że Cię pragną zgnębić, skazić,
Z chwały wyzuć, przeobrazić
I na podłe zepchnąć drogi!...

Lecz i Tobie Pani chwała,
Żeś jak Polka żyć umiała
Tam, gdzie polski milknie głos,
Gdzie wokoło ostre głogi,
Ranią serce, krwawią nogi,
Ciernie rosną, a nie wrzos.

Żeś w tak wrogim Ci żywiole
Potrafiła na swem czole
Jasną wiary gwiazdę nieść,
Nie ugasić, wśród zamieci
I rozniecić w sercach dzieci
Tyle wiary, co masz w sobie,
Za to Matko Polko Tobie
Niechaj Polska odda cześć! —

1894 r.



TRZY GROBY.

– Staruszkę grabarzu, co znaczą trzy groby
Tu, w środku cmentarza?... Chorągiew żałoby
Nad nimi powiewa; przy każdym trzy drzewa
Gałęzie schyliły i płaczą.

Trzy pierwsze niejedną przetrwały już burzę,
Następne są młodsze, a trzecie nieduże,
Lat może trzydzieści w nich wichur szeleści...
Te groby i brzozy, co znaczą?...

– Paniczu mój, widać zdaleka jedziecie,...
Toć groby te u nas najmłodsze zna dziecię...
W tych grobach zamknięci, snem wiecznym ujęci,
Śpią w boju polegli rycerze.
Już trzy pokolenia tę walkę odbyły
Za wolność i wiarę, więc trzy są mogiły,
A brzozy nad niemi, z trzech dzielnic tej ziemi
Szeleszczą i mówią pacierze.

Ot widzisz... ten pierwszy grobowiec wyniosły
Mój ojciec usypał — i brzozy wyrosły
Nad grobem płaczące, a ptaków tysiące
Świergotać tu z wiosną przylata.
Minęło już potem lat z górą czterdzieści;
Myślano, że koniec już będzie boleści
Wtem trysły krwi strugi i znowu grób drugi
Wykopać musiałem dla brata...

Ha, ciężka to doła i życie niemiłe,
Gdy jeden drugiemu brat sypie mogiłę,
A z bratem w grób kładzie przyjaciół, co w radzie
Niemniej nam życzliwi od braci.
Więc nie dziw, że świat mi spochmurniał wokóło
I w bruzdy głębokie żal porył mi czoło,
Boć temu żyć męka, kto jutra się lęka,
Że wszystko kochane utraci...

A było drzeć o co. W mym domu chowałem
Trzech synów, dorodnych i duszą i ciałem,
Pięknością i siłą; więc serce mi biło,
Gdym tulił do piersi ich czoła
I codzień modlitwę wznosiłem do Pana,
By oczy mi zwarła ta dziatwa kochana,
A nie obcy ludzie, gdy spocznę po trudzie,
Gdy Bóg mnie do siebie powoła.

Tak w trosce mi zbiegło, lat ile – nie pomnę...
Nad grobem już brzozy wyrosły ogromne,
A liści ich szumy, gdy zeszły się tłumy,
Szeptaly im coś pokryjomu.
Raz w zimie, gdym podszedł do grobu drugiego,
Na śniegu... krew była... Sam niewiem dla czego
Dłoń moja zadrżała... Wybiegłem jak strzała...
Do synów... Nie było ich w domu!...

Paniczu, są ciosy silniejsze nad wiarę...
Kto do dna po kropli trucizny pił czarę
I śmierci już czeka, a Bóg ją odwleka
Ten sobie rękami własnymi
Śmierć zada okrutną... Myślałem, że może
Wśród walki, przy synach i sam się położę...
Bóg zrządził inaczej... W zwątpieniu, rozpaczy
Wróciłem... a oni tu w ziemi!...

Na progu mej chaty śmiertelne znużenie
Owładło mą duszą – wtem słyszę:... kwilenie
I dziecka płacz w chaćcie. Po synów mych stracie
Sądziłem, że wszystko wymarło,
Więc dziecię porywam, do piersi je tulę...
To syn mego syna!... uśmiecha się czule...
Chwyciłem w objęcia głowinę dziecięcia
I łkanie me piersi rozdarło.

Oł, taki to panie powieści mej wątek...
Dziś dźwigam na barkach lat dziewięć dziesiątek,
Więc myśli mam inne – być może dziecinne,
Mądrości nikt w starcu nie szuka.
Choć groby te mieszczą już tyle tysięcy,
Na boże wyroki nie skarżę się więcej
I godzę się na to, tą oto łopata
Grób czwarty wykopać... dla wnuka.

Bo dobrze to widzę, choć starość wzrok mroczy,
Gdy jestem tu z wnukiem, a spojrzę mu w oczy:
Żar widzę w źrenicach i rozpacz na licach
I w duszy mu czytam jak z karty,
Że cierpi i czeka, aż Stwórca w niedoli
Pociechę nam ześle, lub umrzeć pozwoli...
A wiem już, co znaczy szał takiej rozpaczy,
Więc kopię dla wnuka grób czwarty. –

– Nie, starcze!... Tyś mógł usypał tysiące!...
Już sił ci nie stało i ręce masz drżące,
Blask ócz jak w malignie, dłoń rydla nie dźwignie,
Mnie starcze daj rydel na Boga!
Ja dłonie mam zdrowe, nie braknie mi siły...
Patrz!... Ziemię stal kraje, gruz leci i bryły,
Czy widzisz?... Grób czwarty, szeroki, otwarty,
Wiesz starcze? – Ten grób... to dla wroga!...

1896 r.

PRZED WIOSNĄ.

W kąć już poszły włoskie sprawy,
Baratieri, Baldissera,
I nikt wiedzieć nie ciekawy,
Kto w Afryce laury zbiera.
Adigratu zapomniano,
Madagaskar już nie nęci
I na Kubie jakoś p i a n o,
Jeden Hiszpan tam się kręci.
Bismarck, Gladstone, obaj starzy
Grzeją w ciepłe stare kości,
Tamten o kanclerstwie marzy,
Ten wspomina dni młodości.
Już dziennikarz łamał głowę,
O czym pisać mu wypadnie,
Gdy wtem nagle, cicho, zdradnie,
Grek wymyślił sztuki nowe.
Czy sam z siebie nieproszony,
Czy mu szepnął kto do ucha,
Fez poprawił, nabrał ducha

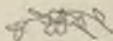
I zaśpiewał dla podniety
I uciechy świata mas:
— Jedź do Krety, jedź do Krety,
Cicha woda, piękny czas!...
Śpiew poleciał nakształt gromu,
Stary Turek targnął brodę,
Bo w dodatku Turki „młode“
Dość mu bruźdzą w własnym domu.
Europa patrzy, czeka,
Co to będzie z tych gmatwanin,
Bo, że: — *nulla fides graeca* —
Dawno twierdził już Rzymianin.
— *Halt!* — rzekł Niemiec — dość swawoli
— *Oui* — powiedział Francuz — ślicznie!
Włoch: *andiamo* — rzekł powoli,
— *Yes* — rzekł Anglik flegmatycznie.
Chociaż Turek zrzuca pychę
I na wszystko chce się godzić,
Płyną wszyscy, wody ciche,
Cóż to komu może szkodzić?
Ale z Grekiem rzecz niełatwa,
Wzездzie, gdzie go nie posieją,
Mąci wodę, sprawę gmatwa,
Oczy mu się tylko śmieją.
I ufając w morską ciszę,
Zbroi rażno swoją flotę,

Bo na Kretę – Homer pisze:
Już Menelaj miał ochotę.
Rad dziennikarz z tej okazji
Chwyta pióro i papiery –
Tam z depeszy, tu z fantazyi
Snuje wnioski z tej afery:
Obraz piekła – niczem Dante –
Więc czytelnik troską żyje,
Pokój? wojna? stan quo ante?
Zgadnij Jezu, kto cię bije!
Giełda drży przed widmem krachu,
Popłoch tam jak w stadzie owiec,
Żeglarz w strachu, żołnierz w strachu,
Kupiec drży i przemysłowiec.

Gdy tak wszystko wre i płonie,
Niby wulkan gorejący,
Jeden rolnik na zagonie
Smutny siedzi i milczący.
Polityka – wielkie słowo...
Ale czyż to jego dzieło?
Wszakże mu nad biedną głową
Klęsk tysiące przeminęło.
Burz i deszczów przeszło wiele,
Drugim nowe niosąc życie,
Jemu dostał się w udziale

Pomór, głód i gradobicie.
Tyle marzeń i snów tyle
Poszło z wiatrem huraganu,
Cudne sny, rozkoszne chwile,
Przebudzenie — wśród kurhanu...
Więc mu troski w duszy rosną
Wlepia wzrok we własne pole,
Zasiał — co mu siew da z wiosną,
Zboża łany, czy kąkole?
Dotąd praca szła na marne,
Burze mu targały plony,
Ot, i teraz chmury czarne
Znów od wschodniej idą strony.
Czy ten, który w chwili gniewu
Zsyłał nawał kar bez końca,
Da mu wreszcie plon z zasiewu,
Czy mu da doczekać słońca?!...

Warszawa, marzec 1897 r.



CIENIOM ĄSNYKĄ.

Choć róże i fijołki opiewałeś w pieśni,
W usta im kładąc słowa natchnione przez Boga,
Nie różami Ci kwitła ziemska Twoja droga,
Nie laury i nie kwiaty sypali rówieśni.

Przez marzeń swoich pryzmat patrzałeś na ziemię,
W czyny pragnąc zamienić, co ujrzałeś we śnie;
Drgnęła ziemia, żar wybuchł z wulkanu przedwcześn
I głaz Ci spadł na piersi ogromny jak brzemię.

A Ty jak Syzyf, granit chwyciwszy na barki,
Dźwignąłeś go ku niebu – lecz skała upadła...
Pierzchły złudną nadzieją karmione widziadła,
Przed wolą bożą ludzkie ugięły się karki.

Tobie w sercu żal został, zmęczenie, ból wielki,
Smutku ciężar olbrzymi – i w takiej rozterce
Onę gorycz żywota piło Twoje serce,
Póki w czarze nie brakło ostatniej kropelki.

Toż nie dziw, że Ci odtąd żal nastrojał lutnię,
Gdyś duchem przeszłość mierzył okrytą w całuny
I nie dziw, że tym jękiem drgały złote struny,
Biedny wieszczu, z marzenia wyrwany okrutnie!

Z walk hałasu, w zacisze przeszedłszy cieniste,
Lutnię wdzięczną ująłeś i wtedy z Twojej ręki
Wypłynęły harmonie cudowne i dźwięki,
Jako perły, nizane na wstążki złociste.

A nigdy – choć Twe życie było jedną troską,
Fałszywy dźwięk rozpaczy nie skaził Ci lutni,
Im rzewniej brzmiała skargą i ciszej i smutniej,
Tem potężniej dzwoniła wiarą w litość Boską.

Więc ujęci Twych pieśni czarodziejską siłą,
Dzieląc z Tobą wierzenia i modły dziecięce,
Razem ku jasnym stropom wznosiliśmy ręce,
Modląc łaski – i serce ufnością nam biło.

Mistrzu, w dzisiejszym świecie materii, rozumu,
Kto nam takie cudowne piosenki wydzwoni,
Kto wytlomaczy mowę pól naszych i błoni
I gwar ów niepojęty naszych jodeł szumu?!...

Patrz Wieszczu!... Oto pełne wonności i krasy
 Jodłowe bory szumią, wicher gałęźmi miota,
 Tam pluska i w promieniach lśni się fala złota,
 Co one szepczą, mistrzu, te fale i lasy?!...

Może skarżą się na to, że nie stało Ciebie
 I że ich odtąd z ludzi już nikt nie zrozumie,
 Może nad nami płaczą, a może — w ich szumie
 Słyszą głos, zwiastujący przebaczenie w niebie.

Lecz ty go już nie słyszysz... Posępny i blady,
 Z krzyżem w zmartwiałych dłoniach, z wawrzynem na
 Spisz melodyi słowiku, idei sokole, [czole,
 Ostatni z wielkich wieszczów potężnej plejady.

Śmierć mrozi rysy Twoje i usta oniemia;
 Nim je anioł w dzień sądu na nowo roztworzy,
 Śpij w pokoju i ciszy, lutnisto Ty boży
 I niech lekką Ci będzie rodzinna Twa ziemia!

Niech nad grobem słowiki Ci nucą na chwałę,
 Fale Wisły z oddali niech szepczą Twe imię,
 Wyniosłe świerki w borach i dęby olbrzymie,
 Dzwonki polne na łąkach i konwalie białe.

* * *

Z pomników rysy Twoje znać będą potomni...
Czas je zniszczy, wiek szczyby wylamie w marmurze,
Lecz pieśni dźwięk spiżowy przetrwa wszystkie burze,
Wieki miną, spiż runie – naród nie zapomni!...

Warszawa, sierpień 1897 r.



NASZYM PIEŚNIARZOM.

(TOAST).

Cześć wam, co pieśnią, z serca płynącą
Budzicie senne tłumy do życia!
Za uczuć wielkość, za krew gorącą,
Co bratnie serca zmusza do bicia,
Za pieśń w ojczystej śpiewaną mowie,
Za wiary dzielność, cześć wam panowie!

Wieczycie młodzi, choć wiek sędziwy
Skronie wam białym szronem przyprószy.
Ufni w moc ducha, w plon waszej niwy,
Piękni nadziemskim zapałem duszy,
Który nam w sercach święty żar nieci,
Wiecznie młodzieńcy, wiecznie poeci!...

Ani wam zawód serc nie przemieni,
Ni chleb wam zgorzknie skrapiany łzami;
Wielkiem uczuciem wyposażeni,
Więcej niż naród cierpicie sami,

A zawsze z lutni waszej się leją
Dźwięki, przecudną brzmiaące nadzieją.

Gdy naród skazi ducha niewiarą,
Zgnębiony walką o byt powszedni,
Wy, w przędzę jego żywota szarą
Wplatacie złotą nić sami jedni,
Aż mu powoli życie omota
Nadziei waszej nić szczerozłota.

Z Bogiem pieśniarze, z Bogiem lutniści!
Nam tak rozkosznie, gdy pieśni dźwięczą!...
Serce się w tonach kąpie i czyści,
Schmurane niebo rozbłyska tęczą,
Aż zapatrzeni w światłość przejasną
Ujrzymy Boga i przyszłość własną.

Więc cześć wam za te niebiańskie chwile,
Za dźwięki sercu naszemu miłe,
Za trudów tyle i ofiar tyle,
Za uczuć wielkość i serca siłę,
Za pieśń w ojczystej śpiewaną mowie
I wiary dzielność — cześć wam Panowie!...

Warszawa, 8 grudnia 1897 r.

DO NIEKTÓRYCH POETÓW.

Czemu wy tacy chmurni, tak gorzcy jesteście,
Idąc na Parnas drogą ciernistą i nagą,
Czemu żalem a smutkiem, jak żałobną flagą
Powiewając, i wieszczów odziani powagą,
Narodowi za napój łyż ślecie niewieście?
Czemu w jęku narzekań i westchnień szeleście
Głuszycie okrzyk ludu, co płaczem omamion,
Traci wiarę w moc ducha i siłę swych ramion!?

Więc to takie jest dziedzictwo
Nieśmiertelnych wieszczów lutni?

Takie wasze posłannictwo:

Smucić tych, co sami smutni?

Tym, co cierpią, na ochłodę

Rzucać zwątpień karmę suchą

Albo łez zgorzkniałą wodę

Albo jęki kłaść im w ucho?!...

O nie tak, o nie tak śpiewano przed laty,

Nie taki był nastrój i duch!

Lecz ogniem ziejący, w nadzieję bogaty,
Toż siłę miał w sobie i polot skrzydlaty

I życia potęgę i ruch!...

Tam był ogień serc szlachetnych;
Pieśń dzwoniła uczuć siłą,
Czułeś, że w tych formach świetnych
Nie o formy blask chodziło,
Nie o dźwięk frazesów przedni,
Lecz o treść, by narodowi
Podać nektar niepowszedni,
Co go skrzepi i uzdrowi,
Lica zarumieni bledsze,
Jęk przytłumi, łyzy obetrze...
I szła w piersi nam nadzieja,
Balsam pieśni goił rany,
Żeśmy byli jak Spartany
Zasłuchani w pieśń Tyrteja,
Żeśmy czuli w takiej chwili
I działali – i wierzyli...
Dziś co? – Miast uśmiechu, łyzy...
Miasto wiary jęk boleści...
Forma piękna... jakiejż treści?...
Róże, lilie, maki, bzy,
Barwa mórz seledynowa,
Świerków szumy, księżyc blade
Albo panny cudna głowa,

Srebrnych śmiechów jej kaskady
Albo ciemna zieleń łąnu! –
Piękne, piękne – ani słowa;
Nowe rytmy, forma nowa,
Jako cacka z filigranu,
Jak wiązanki z róż ogrodu
Przy stanikach strojnych dam,
Lecz nie pokarm dla narodu,
Co od wieku cierpi sam,
Co od wieku schylał głowę
Niosąc jarzmo Syzyfowe!
Bo na Boga! Wszak ten naród
W piersi żywi serce czyste,
Wielkich myśli w duszy zaród,
Wielkich żarów skry ogniste!
Wszak on trzy razy ramię wyteżył
Życia żądając – nie śmierci!...
Choć był rozdartym na ćwierci,
Szarpnął łańcuchem, bo nadto mu ciężył,
Lecz padł – nie zwyciężył...
Ale wstanie w potrzebie,
Czuje siłę w każdym nerwie,
Czuje, że kiedyś rozerwie
Uścisk padalczy,
Ma wiarę w siebie
I walczy...

Czuli te narodu dreszcze
Zmarli poeci i wieszczę,
Bo ich serce biło razem
Z sercem narodu. Obrazem
Natchnień swych bożych widzieli
Drgające narodu serce,
Wszystkie zamiary przejrzeni.
Płomień dostrzegli w iskiecce...
I wtedy ich lutnia zabrzmiała...
 Ale to była potęga
 Gromu, co w prochy uderza,
 To była narodu chwała,
 To była historyi księga,
 To była arka przymierza,
 To był serca krzyk
 Pieśń ta,
 To był ryk
 Lwa !...

I naród zapłakał... Lecz inne, o inne
 Z oczu tam lały się łzy.
Nie żał je wycisnął, ni skargi dziecinne,
To serce narodu zadrgało niewinne
 Pod wpływem czaru tej gry.

W pieśniach tych nie głąskał ucha
Dźwięk frazesów, formy szych,

Ale siła była ducha,
Ale wiara biła z nich.
Była pomoc, była rada
Głosem lutni udzielona,
Czy nam śpiewał wieszcz Konrada,
Czy to zemstę Irydiona,
Czy Kordyana krwawe dzieła –
Ale zawsze w naszej piersi
Jakaś struna odbrzęknęła,
Żeśmy więksi, lepsi, szczerzi,
Rwali się z nędznego łoża,
Gardząc słomy naszej pleśnią,
Bo nam w sercach iskra boża
Tlała, rozbudzona pieśnią!...

Dziś zamilkły usta wieszce,
Wielcy ludzie zmarli ciałem,
Lecz ich pieśni dzwonią jeszcze
Echem nigdy nieprzebrzmiałem.
Choć grób wieszczów mchem porasta,
Pieśń, jak dawniej uskrzydłona
Biegnie w góry, wsie i miasta,
Budzi serca, grzeje łona,
Nieci ludu święty gniew,
Nieci zapal, życia znak.,
Lecz to był poetów śpiew,

Wieszczów narodu — o tak,
To był śpiew!...

A wy, tych mistrzów uczniowie,
Kształcąc się na cudnym wzorze,
Czyście wzięli grom w ich słowie
Czy ich ducha wzięli może?
Nie — wy z pieśni tej skrzydlatej
Zdjęli tylko świetne szaty,
Tylko blask złoconych ram,
Blask, co świeci, lecz nie pali,
Wyście formę wymuskali,
Ale ducha niema tam!
Płynie wierszyk znamienity,
Ucho nasze pieścza mile
Jamby, trochej i daktyle,
Lecz ich treścią... same „zgrzyty“...
To w elegię pieśń się zmienia
Echem dźwięcząc „przeponurem“,
To w miłosne roztkliwienia
Nad kochanki ócz lazurem,
Nad jej twarzą wiecznie bladą,
Jej miłością albo zdradą.
To w melodyi jakiejś dzikiej,
W czuciu serca „przenajszczerszem“
Z piersi wieszczą płyną krzyki,

Groźby sonetowym wierszem,
Że, gdy żal mu pierś rozdziera,
Zginie śmiercią Boulangerera,
Padnie, jako gromem tknięty,
Martwy na grób swojej świętej,
Na lodowy marmur łona
I na ustach pieśń mu skona...

Skąd ci wieszczu mój kochany
Młody wieszczu rozpacz głucha?
Żądza ciszy i Nirwany,
Zgonu ciała, śmierci ducha?
Czy już nie masz blisko siebie,
Gdy cię straszą sny złowieszcze,
Matki swojej – Boga w niebie.
Jeśli w Niego wierzysz jeszcze?...
Zwierz się braciom swego rodu,
Ukój serce ciszą polną,
Wichru śpiewem – bo narodu
Karmić jękiem ci niewolno!
Bo ten naród chce napoju,
Coby siły wzmocnił mu,
Pragnie życia, walki, boju,
W trudzie dłoni, czoła znoju,
Aż do ostatniego tchu...
Pragnie, by na waszem czole

Ujrzał wiarę, moc i wolę,
Jutrzni swojej złoty świt,
Pragnie słyszeć z ust poety
Słowo wiary, a nie „zgrzyt“,
Piękno, prawdę, a nie zło,
Radby wchłonąć zdrój podniety,
A nie ckliwej galarety,
Jaką wy karmicie go!...

Nie masz matki, nie znasz Boga,
Zbrzydła ci już życia droga?
Jest i na to jeszcze rada:
Z tej krynicy wieszczów starej,
Skąd czerpałeś formy czary,
Czerp naukę, jak w Konrada,
Po miłości swej pogrzebie,
Gustaw przelał serca żary —
A wstaniesz inny, zbudzony,
Chcesz cierpieć — cierp za miliony,
Nie za siebie.

I takie cię porwie współczucie gorące
Dla tych, co cierpiący i smutni,
Że tonów ci z lutni wypłynie tysiące
I zabrzmia jak surmy do boju dzwoniące
I zdziwisz się głosem swej lutni...

Bo niemasz czystszeo źródła
Jak jest miłość kraju święta.
Kto swej matki grób pamięta,
Komu dusza nie wychłódlą,
Kto wypiwszy zółc z kielicha
Wydrze oczom łzę ostatnią,
Lecz potrafi westchnąć zcicha
Patrząc się na nędzę bratnią...
Kto za brudnym nie mknął zyskiem
I w uczuciu pychy niskiem
Nie przepodlał do ostatka:
Ten wie, co to Matka,
Co miłość jej, co za nią bój,
Ten wie jak święty natchnień zdroj,
Jak wielki, jaki przezczysty:
Ta... miłość ziemi ojczyste!...

.
Warszawa, 14 grudnia 1897 r.



NASZEJ MATUCHNIE.

(SEWERYNIE DUCHIŃSKIEJ)

wiersz umieszczony na kartonie jubileuszowym dla Seweryny Duchińskiej pod winietką, przedstawiającą widok pałacu w Łazienkach, pędzla p. A. T.

Czy Ty pamiętasz, jak pierś młodziuchną
Wstrząsał Ci okrzyk zwycięskiej wiary,
Jak gmach niewoli rozpadał w próchno
I jak ten pałac rozkwitał stary
W srebrzyste orły, jasne sztandary,
Czy to pamiętasz Matuchno?...

Może Ci miłym na obcej ziemi
Będzie ten widok narodu chwały,
Może Cię we śnie skrzydły złotemi
Przeniesie do nas archanioł biały,
Gdzie dotąd jeszcze na naszej ziemi
Ślady łez Twoich zostały...

Warszawa, 17 grudnia 1897 r.

DO WIOSNY.

(W pamiętniku P. M. D.)

Kocham cię wiosno! kocham – nie za to,
Że mi czarami zachwycasz oko,
Że ziemię w barwy stroisz bogato
I woń rzucając ręką skrzydłą,
Pierś mą w oddechu wznosisz głęboko.

I nie dlatego, że siejąc blaski,
Rosę na kwiatach zmieniasz w dyamenty,
W szmaragdy liście, a w złoto piaski
I nie dlatego, że z twojej łaski
Harmoniǎ tonów słuch mam przejęty...

Lecz kiedy myślǎ wszystkie otoczę
Cuda, którymi błyska twa dłoń:
To ponademną jasne przeźrocze,
Te kwiaty wkoło dziwnie urocze,
A wszęǳie, wszęǳie blaski i woń:

To mi się zdaje, że Ten, co tobie
Potęgę twórczą dał w ręce obie
I w serca wpoił dla ciebie cześć
I nam dozwoli na zimy grobie
Hymn dziękczynienia ku górze wznieść.

Więc, że mi Boga i Polskę razem
Wspominasz ptasząt pieśnią radosną,
Że tryumf święcisz nad lodów głazem
I żeś ojczyzny mojej obrazem
Co kiedyś wstanie — Kocham cię wiosno! —



W NOC LETNIĄ.

(Pani K. M.)

Patrzę na niebo – noc je ocienia,
Chmur tylko widzę skłębiony wir,
Tonę w marzeniach – ciemne marzenia,
Bo mi je smutek wichrzy i zmienia...
Myśli i gwiazdy zasnute w kir.

Cisza wokół. Znużeni ludzie
Pokładli głowy na miękkim puch
I śpią – po dziennym znoju i trudzie,
Szuka pociechy w sennej ułudzie,
W krainie marzeń zmęczony duch.

Ha, śpijcie, śpijcie – świt was ocuci,
Oświeci życia nędzę i pleśń,
A teraz śnijcie, że przeszłość wróci
I, że z twardego jarzma rozkuci,
Spiewacie chórem dziękczynną pieśń.

Czemu milkiecie?... czemu wam ciało
Dreszcze targnęły od głów do nóg?
Czy wam oddechu we śnie nie stało,
Czy się lękacie pieśnią zuchwałą
Obudzić wroga?... nie słyszy wróg!

I on spoczywa. Po jego twarzy
Błąka się uśmiech; w krainie złud
I on o wielkiej ojczyźnie marzy,
Na której kresach stanął na straży,
W rękach trzymając oręż i knut.

Miło tak marzyć... Noc letnia, cicha,
Zefiry chłodzą uśpionych skroń,
Róże zapachy sączą z kielicha
I pierś rozkoszą wiosny oddycha,
Chłód pije nocny, świeżość i woń.

Czemu tak cicho?... O Boże, Boże!
Jam nigdyś marzył, że w taką noc,
W taką wiosenną pójdę i może
Pierś na pociski wroga otworzę,
A ze mną pójdzie narodu moc...

Marzyłem nigdyś, że w walce stanę
O moją ziemię i o mój lud,

O moich braci prawa zdeptane
I mścić się będę za każdą ranę,
Za moich ojców męczeński trud.

I w takich myślach biegną mi lata,
Płynie dzień za dniem, za rokiem rok,
Przemija wiosna w zieleń bogata
I smutna jesień chyżo przelata,
Potem znów zima, cisza i mrok.

Ludzie wy, ludzie!... Czy wam już w duszy
Wszystkie uczucia zamarły wraz,
Czy wam tak miło umierać w głuszy,
Że się już żaden olbrzym nie ruszy,
By dźwignąć śmieie grobowy głaz?

Więc śpijcie! Wasze łoża to trumny,
A kraj wasz cały jak jeden grób!
Spróchniały waszych świątyń kolumny,
Dziecko je zburzy, nie wróg wasz dumny,
Ciała robakom pójdą na łup!

Żal mi te słowa z piersi dobywa
I rozpacz wielka i wielki gniew,
Boć ona dawniej była szczęśliwa

Ta nasza święta ojczysta niwa,
Gdy naród za nią przelewał krew.

Wiek minął potem, jednak bywało
Co pokolenie budził się ruch;
Dziś, czy naprawdę zamarło ciało,
Czy serc już niema, czy wiary mało,
Że sił do walki nie czuje duch...

O, jeśli prawdą, że Ty nam Panie
Gotujesz wiecznie helotów los
I że mój naród nigdy nie wstanie
Gmachu niewoli burzyć wiązanie,
To weź mi oczy i słuch i głos.

Niechaj przed klątwą język oniemie,
Niechaj oślepnę, zgłuchnę jak trup,
Lecz niech nie patrzę na moją ziemię,
Jak milcząc dźwiga niewoli brzemię
I jak się wrogom ściele do stóp..

Patrzę na niebo — noc je ocienia,
Chmur tylko widzę skłębiony wir...
Tonę w marzeniach — ciemne marzenia
Bo mi je smutek wichrzy i zmienia;
Myśli i gwiazdy zasnute w kir.

Lecz co to?... Wichry szumią i dzwonią,
Słyszę w oddali świsty i zgrzyt,
Zwiastuny burzy... Chmury się gonią,
Parte wichury skrzydlatą dłonią,
Niebo się krwawi... Ha, czy to świt?!...

Warszawa, maj 1898 r.



Z wędrówki po ziemi ojczystej.

OJCÓW.

Grota zimna, wilgotna, od światła pochodni,
Lat już tyle dymiących, poczerniona sadzą.
Tu stróżowie jaskini turystów prowadzą,
Kiedy wiosna zielenią jej grzbiety odinodni;

Tu się miejsca uczeni zjeżdżają i wadzą:
W zawiłych kwestjach ziemi formacyi niezgodni;
Tragik w ciemnych jej kątach dopatruje zbrodni,
Poeta śni o królu, goniącym za władzą...

Każdy myśli – i w myślach grootę przeistacza,
Zapełnia wyciem wilka i bekiem rogacza
Lub ciemne, puste wnętrza mgłą wieków przysłania.

Przedemną, w owej chwili rozpamiętywania
Zamajaczył w głębinie ducha króla, tułacza,
Przez szczeliny świt wskazał i szepnął: – wytrwania! –

Ojców, wrzesień 1898 r.

Z wędrówki po ziemi ojczystej.

WAWEL.

Mroki padły na dachy i wieżycę miasta,
Chłód zimy przejął mury kościołów i szczyty;
W ciszę nocy i zamróz, jak w całun spowity,
Leży senny i zimny prastary gród Piasta.

Chmury idą przez ciemne niebiosów błękity,
A gdy je wichru strzała roztrąci pierzasta:
W jasnym srebrze miesiąca oczom gwiazd wyrasta
Krzyż katedry i nagie Wawelu granity.

Stulecie za stuleciem w mrok szary ucieka,
Falę za falą Wisła niecierpliwie toczy,
Że droga tak daleka i przyszłość daleka...

Ów zaś piastun królewski przez bezmiar pomroczy
Wzniósł ku niebu swych okien kwadratowe oczy,
W srebro, jak w płaszcz królewski odział się... i czeka...

Kraków, listopad 1898 r.

I. J. PADEREWSKIEMU.

Jako pieśniarz w głąz zakłęty
Przez kamienne patrzy oczy,
Aż czarowną różdżką tknięty,
Ludzkim wzrokiem wkrąg potoczy
I próbując, czy mu płuca
Nie zmartwiały nadto we śnie,
Na podziękę zbawcy rzuca
Najcudniejsze swoje pieśnie:
Tak zakłęty duch narzędzia,
Gdyś je biegłą dotknął dłonią,
Ożył nagle... Jak nad tonią
Zawieszona pieśń łabędzia
Drży i dźwięczy w mgle zarania,
A bór milcząc pieśni wchłania,
Czasem tylko kiedy tony
Głośniej zabrzmiał i boleśniej,
Bór słuchaniem rozmarzony
Jakby skargę odczuł w pieśni,

Liśćmi na pociechę ruszy,
Zbudzi wszystkie swoje drzewa,
Wszystkie głązy i sam śpiewa:
Takie echa w naszej duszy
Twojej gry rozbudza siła...
O, bo ona dla nas była
Niezszechonych snów obrazem...
Wszystkie dusze pobudziła,
Tysiąc serc zabiło razem,
Bije jeszcze... Z obcych ludzi,
Na dalekim świata kresie,
Każdy płacze, gdy Cię słucha,
Każdy zachwyt w dom poniesie,
Jednak Twoja gra wspaniała
Tylu uczuć w nim nie wzbudzi,
Jak je u nas wywołała.
Bo my Cię słuchamy szczerzi,
Inne myśli nam się roją,
Inny w duszy głos odzywa!
Prócz zachwytu nad grą Twoją,
Prócz uznania, nam się w piersi
Cała burza uczuć zrywa:

Więc radość nieznana, że w sztuki dziedzinie
Możemy królować i wolny mieć głos,
Że piękno trwać będzie i nigdy nie zginie,

Choć burze się wzmogą i ziemia krwią spłynie,
A księgi historii przeznaczą na stos...

Więc duma, że w świecie taki szeroki,
Gdzie jesteś uznanie i hołdy tam masz,
Że dusze grą swoją podnosisz w obłoki,
Ku niebios lazurom – a pierwsze swe kroki
Tu u nas stawiałeś, żeś rodak, żeś nasz!...

Więc wiara, że nie nam iść w mroki i głuszę,
Gdy gwiazdy w ponury błyskają nam czas,
Gdy prawe Bóg serca nam daje i dusze
I wielkie krajowi posyła geniusze,
By piękno i dobro szerzyły wśród mas.

Więc wdzięczność dla Ciebie i miłość dla Ciebie
Za serce i pamięć i czary Twej gry.
Toż nie dla rozkoszy, lecz w ciężkiej potrzebie,
Pociechy spragnieni wołamy do Ciebie:
– Wróć jeszcze, ból ukój i osusz nam łzy!...

Warszawa, 22 stycznia 1899 r.



CHORA MATKA.

Patrzę na matkę leżącą we śnie
I szukam śladu życia w jej twarzy...
Jak mi te rysy zwiędły przedwcześnie
Tchnieniem gorączki, co w krwi się żarzy
I usta jakże ścięte boleśnie!...
Wokół ponure grono lekarzy
Otacza śpiącą – każdy z kolei
Ciska swój wyrok: – żadnej nadziei!

Więc precz odemnie – sam pozostanę
I czuwać będę nad matki ciałem
Z braćmi moimi... Wy, tylko w ranę
Umiecie skalpel kłaść i zuchwałem
Poglądać okiem w rysy kochane...
Ona wam obca – lecz ja widziałem
Co dnia jej oczy jasne jak zorze,
A w oczach takie miłości morze...

Takie bezbrzeżne!... I teraz jeszcze
Pamięć obrazy wskrzesza mi tłumnie

Z lat upłynionych – i oczy pieszczę
Widokiem matki zwróconej ku mnie...
Boże!... Czyż wówczas czucie złowieszcze
Dało mi kiedy jej obraz... w trumnie?...
A z braci starszych, kto taką chwilę
Przeczuł, gdy widział w niej życia tyle?!...

Nieraz bywało, gdy na mszę dzwonią,
Lud spieszył słuchać bożego słowa,
I ona wtedy z pogodną skronią,
Pełna uśmiechów, silna i zdrowa,
Z otwartą zawsze dla biednych dłonią,
Szła między ludzi niby królowa,
A lud jej tłumnie zstępował z drogi
I wieńce kwiatów stał jej pod nogi.

Bo ją kochali ci ludzie prości
Za łzy współczucia i moc pociechy,
Za hojność dłoni i żar miłości,
Za jej spojrzenia i jej uśmiechy,
Kiedy bywało poprosi w gości
Lud spracowany z pod wiejskiej strzechy...
I było szczęście, był i dostatek
U tej najdroższej, najlepszej z matek.

Czyż dziw, że dzieciom serce wzbierało?!...
Może tam było w uczuciu naszym
Dumy zbyt wiele, serca za mało,
A może każdy był jej Judaszem?
Może uporem, pracą niedbałą
Serce matczyne siekł jak pałaszem?
I w pysze twardzi, źli a bezczynni,
Może my sami byliśmy winni?...

Zbliźcie się ku mnie bracia rodzeni,
Co dziś jęczycie skargą daremną;
Niech każdy własne winy oceni:
Upór, lenistwo, dumę nikczemną;
Poczuciem grzechu upokorzeni
Na twarz padnijcie pospołu ze mną
I matki stopy oblejmy łzami,
Bośmy tę matkę zgubili sami!

Trwoniąc bezmyślnie ojca dostatki,
Nieuchwycone rojąc widziadła,
Żyliśmy w zbytłych zdala od matki,
A ona biedna gaśła i bladła,
Potem sił swoich kupiąc ostatki,
Trzykroć wstawała z łoża i padła,
Aż krew ją uszła w trzecim wybuchu
I oto leży bez sił i ruchu...

Mówią, że skona... Czyż to być może?!...
Czy wam to słowo serc nie rozrywa?
Bracia, o bracia!... Patrzcie na łożę,
Patrzcie w jej lica!... Wszak ona żywa!
Krwi tylko niema... Piersi otworzę...
Wszystkie jej oddam życia ogniwa:
Krew, mózg i duszę, a wrócę życie
I piersi oddech i serca bicie.

Mówią, że skona... Kłamią lekarze!
Sami nie wiedzą o tem, że kłamią!
Im to śmierć blada zagląda w twarze,
Czują zgon bliski i drugich mamią,
Albo sam Bóg ich ślepotą karze. —
Lecz mego serca wiary nie złamią.
Choć ból rwie piersi, żal wstrząsa duszą,
Ludzie mej wiary w Boga nie zgłuszą.

On dobry — karę zesłał nam w gniewie
Wielkim, lecz słusznym, ale już bliska
Chwila przebaczeń. Oto zarzewie
Pychy wygaśło, niezgoda pryska,
Upór nasz złaman i w łez ulewie
Topi się ciężar win — z topieliska
Coraz to czystsza, bo w łzach obmyta,
Wiara i ufność w Boga wykwiata.

Tak, wierzymy bracia!... Niechaj niezgoda
Z serc nam uleci — niech miłość święta,
Miłość dla matki, wieczyście młoda,
Skalane dusze z grzechów rozpęta,
Z winy oczyści i sił nam doda.
Bóg o skruszonych sercach pamięta,
Lecz wiary żąda, co płonąć w duszy,
Góry przenosi i spiże kruszy...

A ty najdroższa, śpij — jeszcze wcześniej...
Wszak zima teraz... mróz ścina kwiaty...
Dopóki ziemia z lodów nie wskrześnie,
Nie wionie maju powiew skrzydlaty,
Śpij matko nasza i niechaj we śnie
Anioł cię w rajskie przenosi światy,
W te nadobłoczne, gdzie boże ramię
Blaski rozsiewa i cienie łamie...

Warszawa, 10 listopada 1898 r.



WIDZENIE.

(W OŚMSETNĄ ROCZNICĘ ZDOBYCIA JERUZALEM PRZEZ KRZYŻOWCÓW).

Dziwny sen miałem... Przez nocy odmęty,
Gdy cisza legła wokoło mnie głucha,
Dziejowy geniusz uniósł mego ducha
W nieznane kraje... Jak żagiel rozpięty,
Błyskały skrzydła anioła w przestrzeni,
Nad głową jego lśnił wieniec z promieni.

I tak nad ziemią lecieliśmy społem,
Mijając wiosek uśpionych tysiące,
Doliny mgłami białymi świecące
I rzeki jasnym wijące się kołem,
Aż poza morzem dalekiem, na brzegu,
Zwinął duch skrzydła i wstrzymał się w biegu.

Spojrzałem. — Kraj był w mgłę nocną spowity,
Ponury jakiś, milczący i głuchy,
Jakby nie ludzie w nim żyli, lecz duchy.
Nad nami lasów czerniły się szczyty

I droga jakaś w oddali widniała
Kręta a wąska, niby wstęga biała.

Tą drogą szliśmy. – Duch kroczył przedemną
W milczeniu, z głową na piersi schyloną,
Ja za nim. Lęk mi zakradał się w łono,
Gdym patrzył w przestrzeń daleką a ciemną,
Niepewny dokąd mnie wiodą tą nocą,
Czemu tu jestem, gdzie idę i poco...

Doszliśmy wreszcie. Spojrzałem dokoła...
Wszędzie ciemności i smutek pomrocy.
Tylko raz po raz od skroni anioła
Bijący promień rozjaśniał me oczy,
Że coraz głębiej sięgały przez cienie
I wzrok najdalsze ogarnął przestrzenie.

Obca to była ziemia i nieznana,
Lecz taką tchnęła bezmierną miłością,
Takim pokojem i taką świętością,
Żem zadrżał w duchu i padł na kolana,
Bom oto poznał krainę tę świętą,
Kędy Chrystusa na krzyżu rozpięto.

I nagle w duszy mi błysły obrazy
Całego życia Bożego Człowieka...

Owdzie Betleem widniało zdaleka,
Tam owa droga, gdzie Chrystus trzy razy
Padał pod krzyża ciężkiego brzemieniem,
A w dali Jordan połyskał strumieniem.

Lecz gdym ze skrucą pielgrzymą i żalem
Wspominał żywot Chrystusa i mękę,
Geniusz łagodnie mnie ujął za rękę,
A drugą wskazał na gród Jeruzalem...
Wszędy, gdzie oko myśl moją zawiodło,
Lśniły księżycy — gdzież Chrystusa gołdo?!...

— Gdzie krzyż, gdzie wiary oznaka prześwięta? —
— Dalekie lata! — duch szepnął z goryczą —
Na ośm wieków już ludzie je liczą,
A dawnych czasów dziś nikt nie pamięta!
Lecz kto z was kocha, kto wierzy niezłomnie,
Temu ja wielki ów rok uprzytomnię. —

To mówiąc, geniusz z swej księgi dziejowej
Ośm kart wyjął i drąc je w kawały,
Rzucał na chmury, na miasta i skały,
Potem przeżegnał ów gród Chrystusowy,
A kraj się wszędzie przemieniał dokoła,
Gdzie padła karta dziejowa anioła.

I otom dojrzał, jak w ziemi tej łonie
Krył się powoli dzisiejszy ród karli
I jak mężowie oddawna pomarli,
Powstawszy z mogił, ostrzyli swe bronie
I jako potem na baszty i wieże
Wchodzili rojnie tureccy rycerze.

Ale dlaczego pohańcom na twarze
Bije płomienny rumieniec zapału?
Czemu od wody Jordańskiej kryształu
Pędzą bezładnie ku miastu ich strażę?
Czemu tłumami zroiły się wały
I surmy groźnie na murach zabrzmiały?...

A, wiem już... Oto na zachód od miasta
Widać jakoweś oddziały ciągnące...
Idą jak chmura dziesiątki, tysiące,
Tłum się przybliża, powiększa, rozrasta,
Mieni się zdala, a w tłumów tych wirze
Dostrzedz już można chorągwie i krzyże.

A właśnie słońce, zachodząc za góry,
Ostatnie blaski rzucało na ziemię,
Że w baszt koronie i wież dyademie,
Płonące ogniem słonecznej purpury,

Świeciło miasto kolory jasnymi,
Widne zdaleka, jak brylant olbrzymi.

Wtedy to okrzyk doleciał mnie zdala
Dziwnie radosny i dziwnie potężny :
— To Jeruzalem! — I tłum ów orężny
Jął się kołysać ruchliwie jak fala,
Skupiać, rozpraszać, pochylać, a potem:
Na prochy ziemi padł wszystek pokotem.

I cisza znowu zaległa przestworze...
Po jednej stronie tłum leżał schylony,
Milczący, korny — a z drugiej znów strony
Blaski się wokół rozlały jak morze,
A w blaskach, stali, odziani w to słońce,
Groźni, lecz niemi Koranu obrońce.

Już przedwieczorną okryły się rosą
Drzewa i kwiaty, gdy chyżo do celu
Poczęły zbliżać się tłumy, a wielu
Zdjęło obuwie i kornie szło boso.
Wtedy to geniusz, gdym dojrzał ich zbliśka,
Jął mi rycerzy wymieniać nazwiska.

Więc przed innymi na czele pochodu
Rycerski Tankred prowadził straż przednią,

A za nim w szatę odziany poślednią
Szedł walecznego dowódzca narodu,
Gotfryd z Bouillonu, ochoczy a świeży,
Kwiat Lotaryngii i chluba rycerzy.

Razem z Gotfrydem dwaj bracia książęcia,
Każdy ze swoją chorągwią i znakiem,
Szli Eustachy i Baldwin z orszakiem,
Obaj pochopni do mieczów ujęcia,
W błyszczących zbrojach, w pancerzach ze stali,
Obaj waleczni jak lwy i zuchwali.

Dalej rycerze z francuskiej szli ziemi
Z bratem królewskim Hugonem, a dalej
Z hrabią Robertem Anglicy jechali;
Obok zaś stąpał nogami bosemi
Stefan Chartrejski, co grodów miał więcej,
Niżli w swem życiu mógł zliczyć miesięcy.

Między rycerstwem dostrzegłem Waltera
I wraz poznałem, bo kroczył posępny,
A za nim wolno, jak pies nieodstępny,
Lew szedł, przyjaciel i druh bohatera,
Którego niegdyś ocalił od węża,
Przeciawszy sploty zamachem oręża.

A wszystkich było dwadzieścia tysięcy
Pieszyc i jeźdźców, lecz z oczu im biła
Taka potęga olbrzymia i siła,
Żem pojął Turków niepokój, choć więcej
Było ich dwakroć, a miasta ich strzegły
Podwójne mury z kamienia i cegły.

Tymczasem chyżo z przedmurzy i grodów
Blaski słoneczne schodziły za góry
I mrok się wokół rozestał ponury.
Zniknęło miasto i tłumy narodów,
Ucho natomiast chwyciło niekiedy
Dzikię wołania tureckiej czeredy.

Lecz nagle w ciszy wieczornej z oddali
Pieśń wypłynęła przedziwnie urocza
I biegła z wiatrem w dalekie pomrocza
I z rzeką razem leciała po fali
I z echem borów szła mięsząc słuch wroga
I z sercem tłumów płynęła przed Boga...

Gdy świt nazajutrz ozłocił wieżyce,
Wokoło trąby wojenne zabrzmiały
I naraz tłum ów ożywił się cały,
Wraz do Jordanu ruszyły konnice

Poić rumaki, a piesi tymczasem
Jęli namioty rozbijać pod lasem.

Tak w odpoczynku po trudach podróży,
W modlitwie dziwnie gorącej a szczerzej
I w pracy nowej ubiegły dni cztery,
Aż stanął obóz szeroki i duży,
A nad szczytami namiotów, rozpięte,
Szumieć poczęły chorągwie zatknięte.

Z porannym brzaskiem, w dzień piąty przybycia,
Jęli książęta przebiegać swe szyki.
Zabrzmiały trąby wojenne i krzyki,
Błysnęły miecze dobyte z ukrycia,
Brzęknęły tarcze, zaślniły pancerze
I wraz do szturm skoczyli rycerze.

Zaledwie jednak dobiegli do bramy,
Zagrzani wiarą i wodzów przykładem,
Gdy z wież i murów sypnęły się gradem
Bryły kamienne i belek odłamy,
Że słup kurzawy uleciał, a w pyle
Rycerzy z oczu straciłem na chwilę.

Lecz próżne były wysiłki niezmierne,
Próżna odwaga i książąt wołania,

Oto już Tankred raniony się ślania,
Boemund cofa swe hufce pancerne,
A nawet Gotfryd, ów rycerz bez skazy,
Dwakroć odparty, uchodzi dwa razy.

Sześć godzin jeszcze w nieziemskim zapale,
Miłością Chrysta rycerze wiedzeni,
Pomimo trudów i gradu kamieni,
Darli się jeszcze na mury zuchwale,
Lecz postrącani w przepaście pod murem,
Jęli się cofać w milczeniu ponurem.

Smutny był wieczór w Krzyżowców obozie.
Zamilkły pieśni wesołe i krzyki;
Tylko od miasta dolatał wrzask dziki
I brzmiał daleko w ponurej swej grozie...
Gdy niecierpliwy i z gniewu aż błądy
Baldwin, swych braci zaprosił do rady.

Zeszli się wodze. Już noc tajemnicza
Dawno rzuciła swe mroki nad wałem,
A jeszcze w świetle pochodni widziałem
Wodzów krzyżowych stroskane oblicza
I oczy, w których płonęła myśl święta,
Miłość Chrystusa i wola niezgięta.

Bo inne były to czasy i ludzie,
Mieli i serca odmienne i godła...
Nie chwały żądza na boje ich wiodła,
Ani dla zysku przybyli tu w trudzie —
Ich prowadziła nadzieja przeczysta,
Płomienna wiara i miłość dla Chrysta.

Oto dwa lata, jak w mękach i znoju
Błądzą po ziemiach krew lejąc obficie.
Pięćset tysięcy straciło już życie
Z głodu, pragnienia lub w mordach i boju,
A teraz, zmóglszy trud taki olbrzymi,
Mająż się cofać, gdy cel ich przed nimi?...

— Nigdy! — z zapalem krzyknęli wodzowie
I znowu długie toczyli narady,
Aż przy naradzie świt zastał ich błady
I kres położył gwarliwej rozmowie.
Poszli więc wszyscy, gdzie hufce ich stały,
By w czyn zamienić powzięte uchwały.

Wówczas to, patrząc na tłumy z oddali,
Widziałem onych rycerzy, jak sami
Rzuciwszy miecze, na równi z sługami
Chwycili rydle i szańce sypali

Lub drzewa rąbiąc w upale i męce,
Pełnili rażno zlecenia książęce.

A trzeba było mieć siły niemało,
By zwalczyć trudy i wytrwać do końca,
Bo z góry na nich upadał żar słońca.
Pałac im skronie – a wody nie stało
I drzew nie było stosownych na wieże,
A wkoło stali tureccy rycerze.

Wzrok mojej duszy wpatrzony w ich dzieła
Zdawał się skrzydła przybierać motyle,
Bo mi tygodnie mijaly jak chwile,
A jednak dusza spojrzeniem objęta
Przez krótki przeciąg niespełna godziny,
Wszystkie ich trudy i wszystkie ich czyny.

Tak więc po czterech tygodni upływie,
Dwie obłączone stanęły wieżyce,
Strzeżone pilnie jak oka źrenice
I przed płomieniem zakryte troskliwie
Skórami zwierząt, na kołach toczone,
Zbrojne w tarany i mosty zwodzone.

A właśnie lipiec dobiegał połowy,
Gdy lud się z wszelką uwinął robotą;

Z sercem wezbranem, z dziecięcą prostotą
Padł na kolana ów zastęp krzyżowy
I słał modlitwy w niebieskie sklepienia,
Błagając łaski i win przebaczenia.

Potem procesye ruszyły z krzyżami ;
Przodem szli wodze, a dalej za nimi
Kroczyli tłumnie nabożni pielgrzymi
W zbrojach, lecz boso, z gołemi głowami,
A śpiew ich z dymem kadzideł zmięszany
Ulatał w niebo do Pana nad Pany.

Patrzyli Turcy na obrzęd ów dziwny
I tłum szyderyczym witali hałasem.
Owi na wroga nie bacząc, tymczasem
Szli zaśpiewani ku górze Oliwnej,
By tam raz jeszcze ostatni przed bitwą
Pokrzepić serca płomienną modlitwą.

Tak umocniwszy i serca i dusze,
Szybko a cicho pod nocy osłoną
Obydwie wieże do murów zbliżono,
Przygotowano tarany i kusze,
Aby nazajutrz rozpocząć o świcie
Okropną walkę na śmierć i na życie.

Ale raz jeszcze nad krzyżem zwycięsko
Błysnął półksiężyc. Od rana do zmroku
W krwi chrześcijańskiej gorącym potoku
Pławił się Turek, aż trudem i klęską
Znużony Godfryd, wśród bitwy łoskotu,
Rycerzom krzyża dał znak do odwrotu.

Wrócili krwawi, posepni, wybladli,
Wściekłość w swych sercach unosząc i zapal;
Mchów nikt nie szukał, odzieży nie łapał,
Na granit jeno swe kości pokładli
I wzrokiem w niebo sięgając gwiazdziste:
— Chryste — wołali — ulituj się Chryste!...

Nazajutrz rankiem w dzień lipca piętasty,
Gdy zorzą wschodnia oblokła się strona,
Arnulf kapłańskie wyciągnął ramiona
Na wojsko krzyża, na lud i niewiasty,
Które z mężami dzieląc trudów brzemię,
Przybyły, świętą ucałować ziemię.

Lecz Gotfryd pierwszy wstał z klęczek i mieczem
Wskazując miasto spowite mgłą białą:
— Powstańcie! — krzyknął — Rycerzom przysłało
Modlić się czynem... Gdy wrogów wysieczem,

Na grób Chrystusa padniemy w pokorze,
Lecz teraz naprzód!... Bóg nam dopomoże!...

Rzekł i heroldom dał znak umówiony,
Owi zaś w surmy spiżowe i rogi
Zadęli razem, aż głos ich złowrogi
O baszt i wieżyc kamienne korony
Uderzył, w sercach tureckiej osady
Gasząc żar męstwa i siejąc strach blady.

W ślad za odgłosem bojowej fanfary,
Za echem śpiewów ginących w oddali,
Płynęło wojsko, a w spiżu i stali
Jutrzni wschodzącej paliły się żary,
Jakby do szturm na wały forteczne
Bóg słał nie ludzi, lecz blaski słoneczne.

I jako potok, gdy równię zalewa,
Lecąc niweczy pnie drzewne i kępy:
Tak tam, gdzie przeszły krzyżowe zastępy,
Nikły kamienie, zarośla i drzewa,
A rów pod miastem wypełniał się niemi,
Jakby je krater wyrzucił z pod ziemi.

Lecz ponad fosą piętrzyły się dumnie
Mury z potężnych ciosane granitów.

Wzrok tylko po nich mógł wybiedz do szczytów
I na zębatej zawisnąć kolumnie,
Lecz dłoń napróżno wpijała się w głązy,
Szukając szczyby w kamieniach lub skaży.

Tymczasem baszty dotychczas wpółsenne,
Mnogim obrońców zroiły się tłumem
I jak wulkany z łoskotem i szumem
Jęły odłamy wyrzucać kamienne,
Tryskać ukropem, lać wrzącą oliwę,
Miotać płomienie i gruzy straszliwe.

Rum się uczynił. Z odmętu lawiny
Dym wstał i wionął kłębami po łące.
Wśród onych kłębów błyskało tysiące
Tarcz, hełmów, zbroic. Pękały drabiny
Pod gradem głązów huczących z wysoka
I mur stał groźny, twardy jak opoka.

Jak fala wodna od głązu odparta
Cofa się z hukiem, gdy druga od wnętrzy
Wybiegłszy, w miejscu ją zwróci i spiętrzy,
Po niej zaś trzecia nadbiega i czwarta:
Tak pierwszy zastęp, gdy legły już krocie,
Wsparł hufiec drugi i wstrzymał w odwrocie.

Wiódł go sam Gotfryd. Tuż za nim po łące
Toczono z trudem dwie wieże olbrzymie,
Rzekłbyś, dwa smoki, w obłokach i dymie
Skąpane, wolno ku murom kroczące,
Z paszczą otwartą, gdzie skuty w okowy
Taran krył szyję i łeb swój spizowy.

Lecz zanim srogie zadrgały ballisty,
Nim taran wstrząsnął żelaznym łańcuchem,
Już mur się skłębził ponownym wybuchem
Dymów, oparów i lawy ognistej,
Jakgdyby piekło mocami wszystkimi
Broniło wstępu do bożej tej ziemi.

Rozpacz owładła sercami. Już piąta
Część wojska legła pod murem, a jeszcze
Na basztach miasta księżycy złowieszcze
Błyskają dumnie. Strach myśli im płąta,
Że za spełnionych win tyle i zbrodni,
Oni tam może wejść jeszcze niegodni...

Więc strach ich przejął – nie ran ani śmierci
Z rąk saraceńskich – zgon wszystkich ich czeka...
Bóg wie... przed śmiercią nie zadrzy powieka
Rycerzom krzyża – grot serce przewierci

I legną wszyscy jak kłosa podcięte,
Lecz grób Chrystusa, lecz miasto to święte?!...

Gdybyż znak jaki, że krew ta, co tryska
Rzeką na granit i ziemię czerwieni,
Miłą jest Bogu!... Gdyby z tych promieni
Słońca, którymi ponad miastem błyska
Spadł jeden — niebo rozczzerwienił zorzą
I znak dał wojsku, że działa w myśl bożą!...

Wtem patrz!... W oddali na górze Oliwnej,
Gdzie Bóg się modlił za ród nasz Kaima,
Mignęła postać rycerza olbrzymia
I blask naokół rozsiała przedziwny,
A tak potężny, że słońce aż bladło,
Kładąc promienie w nieziemskie widziadło.

Zamilkło wojsko. Płomienne źrenice
Lud wlepił w postać jaśniejącą w dali,
Oddech tamując... Tak wszyscy czekali
Znaku... Wtem rycerz miecz jak błyskawicę
Wzniósł ponad grodu basztami wszystkiemi —
I zniknął, jakby wicher uniósł go z ziemi.

Wówczas to Arnulf dłoń wyciągnął drżącą
I zapatrzony w nieziemskie zjawisko:

– Bracia! – wykrzyknął – Nasz tryumf już blisko!...
Niech w imię Chrysta wasze miecze strącą
Ten mur pogański!... Przez swego anioła
Bóg nam oznajmia, że chce tak – Bóg woła!...

Na krzyk ów, zda się, z pod serca płynący,
Wir powstał w tłumie. Znużeni, wybladli,
Ranni, w półżywi wstawali gdzie padli
I oręż w dłoni ściskając gasnącej,
Rwali się naprzód wśród pieśni i głosów
Surmy wojennej. – Mur pękał od ciosów.

Lecz godną szturmu była baszt obrona.
Przeciw taranom wróg zwiesił przez mury
Ogromne wiechy słomiane i skóry,
Że wnet jak tarcza misternie spojona,
Osłonił mury sprężyste a pełny
Kobierzec, tkany ze słomy i wełny.

Wówczas to Gotfryd pochwycił za groty
Drzewne, żywicą nasiąkłe i siarką,
Zatlił je żarem i celnie a szparko
Jął ślać ku murom. Wyleciał deszcz złoty
Strzał gorejących i z głuchym poświstem
Wpijał się w słomę zarzewiem ognistem.

Jak strzała jadem zaprawna zdradliwie
Skórę zaledwie rozkrwawi i draśnie,
Lecz jad swój we krwi zostawia: — tak właśnie
Pociski księcia w ukryte igliwie
Kładły żar. Dźwięki wojennej pobudki
I gwar tłumili syk ognia cichutki.

Lecz oto właśnie nadleciał ze świstem
Wierny druh ognia, błyskawic i gromów,
Wicher północny. Z ukrytych załomów
Dobył zarzewie i tchnieniem ognistem
Rozdmuchał w płomień. Trzask ognia złowrogi
Zmięszał się z krzykiem rozpacznym załogi.

A wicher szalał. Od ściany do ściany
Leciał wzdłuż murów na łodzi skrzydlatej,
Rwał skóry, wełnę rozdzierał na szmaty,
Świszczał, wył, huczał i dymu tumany
Pędząc na pogan, w oblicza im ciskał
Piasek, dym, popiół — i palił i błyskał...

Słyszac jęk wrogów rozpaczny i głuchy,
Poskoczył Gotfryd ku wieży i razem
Siły zebrawszy, potężnem żelazem
Pchnął drzwi ruchome. Zgrzytnęły łańcuchy,

Brzękły wrzعیądze i pomost zwodzony
Runął na mury wszystkiemi bierwiony.

Jeszcze krzyk ludu i huk uderzenia
Nie przebrzmiał, jeszcze drgał most napowietrzny,
Gdy Gotfryd skoczył ku baszcie fortecznej
Z mieczem wzniesionym jak anioł zniszczenia,
A za nim tłumnie a zbrojno przez wieżę
Wbiegli na mury krzyżowi rycerze.

Blask mieli w oczach, twarz jasną... Przed nimi
Czerniał tłum zbity. Skoczyli w to mrowie
Mord czyniąc straszny i szerząc pustkowie
Wokół przy basztach... Promienni, olbrzymi,
Zdaleka widni, skrwawieni, zaciekli
Biegli wzdłuż murów ku bramie – i siekli...

Przybramna baszta wstrzymała ich w pędzie
Gradem strzał, belek i waru potokiem...
Przetrwali... w bramę rzucili się skokiem
I topór, krwawe zniszczenia narzędzie,
Kładąc pod rygle w okowy wsunięte,
Rwali zawiasy... Miasto było wzięte!...

* * *

Widziałem walkę oczyma śniącemi,
Tarcz migotanie wzniesionych i prawie,
Przy świetle ognia i mieczów błyskawic,
Z geniuszem dziejów... I staliśmy niemi,
W płomień i walkę wpatrzeni. Za nami
Był mrok oparem zasnuty i mgłami...

I postać Piotra z Amieniu świetlaną
Widziałem, świętym płonąca zapalem...
I zakrwawione naokół widziałem
Trupy rycerzy, co kiedyś powstaną
W dzień sądu, z okiem promiennem i twarzą
I na świadectwo swe rany pokażą...

Do uszu moich dolatał zdaleka
Szept cichych modłów i łkania tłumione...
Marzącem okiem powiodłem w tę stronę
I grób dojrzałem Bożego Człowieka.
Przy onym grobie w pokorze i skrusze
Lud Bogu serca polecał i dusze.

Widziałem potem, jak tłumy pielgrzymie
Szły do Gotfryda z królewską koroną...
Dokoła światła migają i płoną,
Błyskają krzyże... W promieniach i dymie

Kadzidel wieją kościelne sztandary,
Lud śpiewa psalmy miłości i wiary.

Lecz wódz bohater odsuwa dar złoty,
Scepter i koronę z prostotą dziecięcą:
Blask go nie ślepi, zaszczyty nie nęca...
Gdzie Chrystus kroczył ku szczytom Golgoty
W koronie z cierni, tam on, sługa boży,
Na skroń królewskiej korony nie włoży...

Wszystko widziałem — — I biło mi serce,
Kiedym te senne oglądał widziadła...
Tymczasem zwolna nad miastem zapadła
Mgła i wzorzyste ścierała kobierce
Kwiatów, palm, lasów, aż w końcu me oczy
Objęła ciemność i smutek pomroczy.

Dziwny sen, dziwny... i jakże daleki
Od jawy życia... Przez szereg stuleci
To samo słońce świeciło i świeci,
W te same strony mkną wichry i rzeki
I ten sam księżyc lśni blaskiem promiennym,
Jeno, że ludziom przyświeca odmiennym!...

Dzisiaj na jeden wielki okrzyk mnicha
Nie pójdą tłumy nadjordańską rosą
Chłodzić serc żaru ni głów nie poniosą
W imię idei... Egoizm i pycha
Struły nam serca – walczymy, lecz po to,
By mieć w trofeach blichtr szczęścia – i złoto!

Gdybym miał Tassa lutnię i potęgą
Pieśni mógł z grobów świat wskrzesić umarły
I wielkie duchy rzucić między karły
I świat dokoła opasać jak wstęgą
Światłem tej wiary, co głązy rozkrusza...
Gdybym mógł!... Potem... choćby śmierci głusza!...

Warszawa, lipiec 1899 r.



Z wędrówki po ziemi ojczystej.

PUŁAWY.

Stąd niegdyś, jako z Westy świętego ogniska,
Szły promienie świetlane w trzy kraju rozłamy;
Tutaj żył i tu działał ów szlachcic bez plamy,
Jako słońce, co grzeje zarazem i błyska.

Dziś darmo śladów dawnej świetności szukamy...
Zatarte na pałacu herby i nazwiska...
Miast orłów świeci napis i w oczy się ciska:
– Tu zakład agronomii... rolnej wiedzy kramy...

Wszystko w mroki zapadło, rozwiało się w dymie
I na tułaczkę poszedł książęcy ród prawy.
Wróg nawet miasto przechrcił, zatął sławne imię...

Jeno lipy w noc cichą śpiewają olbrzymie:
– Wróci ród Jagiellonów... odzyszczą Puławy
Dawne miano chrztem nowym... lecz ten będzie krwawy!...

Puławy, w sierpniu 1899 r.



Z wędrówki po ziemi ojczystej.

CZĘSTOCHOWA.

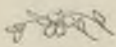
I dziś, jak przed wiekami, tłum spieszy zebrany
Korzyć dusze i serca przed Bożą Matroną...
Biją dzwony spiżowe i kadzidła płoną,
Chórom pieśni wtórują klasztorne organy...

I dziś, jak ongi, kapłan dłonią uświęconą
Hostye Boże rozdziela między chrześcijany;
Pociecha płynie z góry, jak balsam na rany,
Dreszcze święte przejmują rzeszę rozmodloną...

A klasztor trwa od wieków... Bóg sił mu udziela,
Że się trzyma jak ongi, obronnie a czerstwo
I potężnie murami w strop niebios wystrzela...

Lecz, o hańbo!... Przed bramą, Bogu na szyderstwo,
Stanął ze spiżu posąg cara – zbawiciela!...
Car – i zbawienie ludu!... Wstręt, fałsz i bluźnierstwo!...

Częstochowa, we wrześniu 1899 r.



CZARNA CHWILA.

I przyszedł na mnie dzień taki czarny,
Że mi się życie wydało męką.
Serce me biło jak dzwon pożarny,
Szarpany drżącą dzwonnika ręką.
I zdało mi się, że pierś pokruszy
Ta moc namiętych serca uderzeń,
Bom widział pożar własnej mej duszy,
Mych uczuć młodych i świętych wierzeń,
Bom czuł, jak w piersi szalona burza
Rwie mi te kwiaty i w proch zanurza.

Jak rolnik chowa plony swe cenne
W miejscu od żaru iskier odległem:
Tak ja mych uczuć troskliwie strzegłem,
Że ich nie tknęły iskry płomienne,
Że nigdy rozpacz, co duszę spala,
Do tej skarbnicy nie weszła zdrada,

Ni ją zwątpienia oblała fala
Ni żal nie wstrząsnął ścian jej posadą.
Przed żądź pokusą i zwątpień szalem
Świątynię serca zamkniętą miałem.

Aż oto nagle do tej skarbnicy
Zgraja szatanów wdarła się razem ;
Pierwszy, zwątpienia bożek dwulicy
Gmach mojej wiary skruszył żelazem,
Za nim strach nadszedł i przed oczyma
Jął mi przesuwać krwawe widziadła,
Potem żal chwycił z siłą olbrzyma
Duszę, a potem rozpacz w niej siadła,
Aż w onym bólu i poniewierce
Bić mi na trwogę poczęło serce.

I jako z wiosną, gdy górską rzeka,
Nabrawszy wody w ciasne swe łoża,
Brzegi i tamy falą rozorze,
A naród wszystek przed nią ucieka :
Tak przed nawałem zwątpień i troski,
Wstępu do serca broniąc daremnie,
Uciekł mej wiary archanioł boski,
Za nim nadzieja pierzchnęła odemnie ;
Toż mi się serce darło na troje,
Gdym w prochu widział ołtarze moje.

I zdało mi się, że żyć nie warto
Z taką rozpaczą w duszy i piekłem...
Więc siadłem z głową na dłonie wspartą
I myślą w przyszłość mroczną uciekłem.
Szatan mnie kusił... I co po życiu
Bez wiary w życia mojego pracę!...
Śmierć mi da pokój... W ciszy spowiciu
Zatracę pamięć, czucie zatracę,
A gdy się serce zmieni w okruchy,
Jako proch zimny będę i głuchy.

Głuchy i zimny... A tamci... żywi?...
Ha, będą wlekli taczki żywota...
Jednym się dola uśmiechnie złota,
Drugich miłości skarb uszczęśliwi,
Reszta niech walczy jak ja... Zwątpienie
Niechaj im serca kasa jak żmija,
Niech suszy mózgi i krew wypija...
Co mnie ci ludzie?... W proch się zamienię,
Żadna mi troska duszy nie znęka;
Co mnie ich walka, ich trud, ich męka?!...

Widzę ich wszystkich. — Oto sierota
Błaga ze łzami o kawał chleba...
Odejdzie z niczem... Ha, nie dziwota!
Każdemu własna w myśli potrzeba.

Tam w progu matka staje wybladła,
Prosząc dla dziecka o datek lichy,
A ówdzie młodzież przy stole siadła
I w kryształowe dzwoni kielichy. —
Tu złoto blaskiem w oczy uderza,
Tam nędza białe zęby wyszczerza.

Wszędzie to samo... Była i będzie
Jedna utarta droga żywota.
Niejedno celom służy narzędzie,
Lecz jedna ludziom gwiazda migota. —
Chociaż... są inni... Oto wesola
Biegnie ku mecie garstka młodzieży.
Promień zapału wieńczy im czoła,
A każdy siły na zamiar mierzy
I śmiałą myślą w niebo ulata...
Oni chcą naprzód pchnąć bryłę świata!

Szaleńcy! Wróćcie na szersze drogi,
Niepodobieństwo iść przeciw fali!
Granit i ciernie skrwawią wam nogi,
Nędza wyczerpie, trud was obali,
A porzucone na twarde głązy
Przywódców waszych nagie szkielety,
Ostrzegą wszelkich jak drogokazy,
Że nikt tą drogą nie dojdzie mety,

Gdzie lśnią na szczycie prawdy bożyszczą...
Nikt – w drodze trupy, ruiny, zgliszczą!...

I jam przez głązów owych posady
Szedł niegdyś wiernie... W żmudnym pochodzie
Głaz mi, bywało, nogę przebodzie,
Więc krwią znaczyłem drogi mej ślady
I szedłem dalej, dopóki w łonie
Tliła się jedna iskra nadziei,
Że choć nie dojdę, po moim zgonie
Tysiące za mną pójdą z kolei –
Dzisiaj i tego zrzekłem się hasła,
Bo mi ta iskra ostatnia zgasła...

Nic niema w piersi – nawet niewiary,
Co względny spokój przywraca duszy;
Chciałbym nie wierzyć, lecz nałóg stary
Jak wichur czasem popioły ruszy
I skrę dobędzie – serce się dźwignie,
Na chwilę w piersi uderzy młotem,
Wzniesi płomienie wiary, lecz potem,
Jak wypalona pochodnia stygnie...
I tak mi świeże duszy mej rany
Żal i nadzieja rwą naprzemiany.

A wokoło mnie tak pusto, głucho,
Że dusza tonie w ciszy i mroku...
Naprawdę chciwie wytężam ucho,
Czy nie dosłyszysz znajomych kroku...
Bo żebyż w takiej chwili straszliwej
Mieć koło siebie brata lub druha,
Dojrzeć na twarzy uśmiech życzliwy,
Przyjaźni słowem pokrzepić ducha...
Tu nic... tu wszystko w ciszę się zlewa,
Jeno ptak w klatce zamknięty śpiewa...

Podejdę bliżej, ptaka nastraszę,
Niech mnie nie drażni swoją piosenką...
Idę więc, sięgam brutalną ręką
Ku szczeblom klatki, sięgam, a ptaszę,
Jakgdyby czując gwałt niepojęty,
W skrzydła maluchne załopotano
I bijąc niemi w żelazne pręty
Nucić poczyna, zrazu nieśmiało,
A potem silniej coraz, aż cała
Izba ptaszęcym śpiewem rozbrzmiała.

Więc tobie niczem przemoc śpiewaku,
Niczem lat tyle ciężkiej niewoli?
I możesz śpiewać, gdy serce boli,
Gdy bracia twoi w powietrznym szlaku

Żeglując skrzydłem w błękitne dale
 Ślą wolne pieśni?... Patrz tam na kwiaty,
 Na łąk szmaragdy i ros opale!...
 Widzisz nad borem zastęp skrzydlaty?
 To siostry twoje i bracia polni
 Lecą w kraj blasków — a lecą wolni!

Wolni! — Czy słyszysz?... słyszysz... w bezkresie
 Żadna im przemoc pęt nie nałoży!...
 Mogą ulatać w jasny świat boży
 Dokąd ich skrzydeł trzepot zanieśie,
 Mogą się poić rosą poranną,
 Witać piosenką świtanie słońca,
 Żyć plonem ziemi i niebios manną
 I lecieć w przestrzeń, lecieć bez końca
 Ku jasnym tęczom i złotej zorzy...
 Mogą — i nikt im pęt nie nałoży!

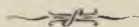
Tobie ptaszyno druciana cela
 Światem i grobem. — Ściśniony kratą
 Patrzysz na braci rzeszę skrzydlatą,
 Widzisz, jak słońce blaskami strzela,
 Rozumiesz słowa gwary ptaszęcej
 I nie zazdrościsz?... nie chcesz swobody,
 Światła i ruchu?... nie pragniesz więcej
 Nic oprócz garstki prosa i wody?

I na świat patrząc z więziennej cieśni,
Masz moc, by z piersi dobyć zdroj pieśni?...

Hymnu wesela... bo w twoim głosie
Wyczuwam jasne dźwięki nadziei...
Jak niegdyś wiosną, w rodzinnej kniei,
Świtaniem stałeś po rannej rosie
Dziękczynne pieśni Stwórcy wszechświata:
Tak dziś na widok wiosny kobierca,
Głos twój radosny z piersi ulata...
Ptaszyno!... Skąd masz moc taką serca?
Z siebie, czy z Boga?... Więc śpiewać można,
Choć serce pęka i dusza trwożna?!...

A jeśli moc tę za niebios bramą
Czerpiesz i Bóg sam wzmacnia cię w wierze —
To w prochy przed Nim czołem uderzę,
By duszy mojej dał moc tę samą,
Bym stłumił boleść, gdy serce targa
I na mych braci wiecznie pamiętny,
Tak zamknął usta, by żadna skarga,
Żaden głos z piersi nie wybiegł smętny;
W szczęściu i klęskach niechaj z kolei
Dzwoni im zawsze mój śpiew... nadziei!...

Warszawa, listopad 1899 r.



Z LISTU DO P. ZOFII T.

.
. dawne czasy...

Toż lecą ku nim na skrzydłach pamięci
Myśli, jak lotna słowików gromada...
Gdzie czar wspomnienia do siebie je nęci,
Tam każda w miejsce znajome zapada,
Dawno przebrzmiałe wywołuje echa
I do znajomych się tonów uśmiecha.

Słyszę je... Serce mi żywiej uderza...
Widzę otwarte okna do ogrodu...
Woń idzie przez nie wiosenna i świeża,
Uczuwam tchnienie wieczornego chłodu
I taka rozkosz przenika me zyniły,
Że czuję... w oku dwie łzy mi zabłysły...

Przez te łzy patrzę... Jedna z dziewic siadła
I biegłą ręką uderza w klawisze...

Oczy jej błyszczą niby dwa zwierciadła,
Gdy się w nich promień słońca zakolysze,
Druga tuż obok stanęła dziewczyna,
Wzrok wlepia w nuty i śpiewać poczyna...

O, znam tej pieśni rozpaczne wyrazy!
To Halka biedna, ginąca z tęsknoty,
Rzuca swe skargi na pola i głązy:
– Gdzieżeś, ach gdzieżeś, o Jaśko mój złoty? –
Lecz darmo woła mdlejąca i blada,
Jeno jej wicher stepów odpowiada...

Znowu pieśń inna... paląca, namiętna...
Słowa jej budzą nowych myśli roje,
Krew płonie ogniem i biją mi tętna:
– Chciałbym całować czarne oczy twoje,
Usta i skronie i włosów twych sploty,
Ty skarbie, bóstwo, ty zdroju pieśnocy! –

Kona pieśń... Z oczu mi znikła dziewczyna,
Znikł salon... Myśli już rwą się i wicherzą,
Więc znowu pamięć im skrzydła przypina
I niesie w przestrzeń smutniejszą i cichszą,
Gdzie usta ludzkie piosenką gorącą
Ni gwary świata już ciszy nie zmaćają.

Oto tam widzę w środku cmentarzyska
Kolumnę z łomów granitu lepioną...
Na każdym łomie wyryte nazwiska
Złotemi głoski błyskają i płoną
I tak się wiją przez grobowiec kołem,
Jak aureola ponad świętych czołem.

Złączeni w grobie jak ongi na ziemi,
Zwartym szeregiem jak niegdyś w kolumnie,
Leżą dziś senni, milczący i niemi
Ci, co za życia szli groźnie i dumnie,
Zrywać swych kajdan żelazne okowy
I wiary bronić orężem i słowy.

Jakże mi błogo, że ponad tą pleśnią,
Gdzie w dzień zaduszny staje młodzież cała,
Składać im hołdy wieńcami i pieśnią,
Leżą tak dobrze znajome mi ciała
I jakąż dumą dziś serce mi płonie,
Żem ścisnął niegdyś szlachetne ich dłonie!

Od grobu cieniów spiesz myśli polotem,
Gdzie ów park w blaskach gasnącego słońca,
Kędy pod nieba błękitnym namiotem
„Sokole“ czapki migają bez końca,

Gdzie echem idzie budząc święte dreszcze
Pieśń czaru pełna: — Nie zginęła jeszcze! —

Wszystko dziś widzę — widziałem sto razy
W marzeń wieczornych lustrzanem odbiciu,
Dziś Ty mi Pani wskrzesiłaś obrazy
Zblakłe i dawno zapomniane w życiu,
Duchami zmarłych wypełniłaś cmentarz,
Ujrzałem wszystkie — a Ty, czy pamiętasz?...

Warszawa, kwiecień 1900 r.



PIELGRZYM.

Więc pochwycił kij pielgrzymi,
By przejść ziemię wszerz i wzdłuż,
Poznać dziwów świat olbrzymi,
Z ludźmi wiązać się bratnimi,
Szukać bratnich dusz.

Szedł i mijał wód odmęty,
Gór załomy, łąny zbóż,
A miał drogi tor wytknięty,
Bo niósł w sercu płomień święty:
Miłość owych wzgórz.

Ona była mu przewodnią
Gwiazdą pośród życia prób;
Świtem, zorzą pozachodnią,
Słońcem we dnie, w noc pochodnią,
Siłą rąk i stóp.

Blaskiem jej rozświecał mroki,
Ludziom w serca patrzył rad
I wiódł rażno swoje kroki
Przez wyboje i roztoki,
Do zamków i chat.

Tak odwiedził szereg mnogi
Wiejskich izb i pańskich sal,
Lecz im bliższy kres był drogi,
Smutniał pielgrzym nasz ubogi,
W sercu rósł mu żal...

Bo gdzie zwrócił swe spojrzenia,
Widział trosk powszednich moc,
Małość dusz i mrok zwątpienia,
Które przedświt w noc zamienia,
W czarną, głuchą noc.

Szukał serc, a znalazł głązy,
Szukał dusz, nie dostrzegł ich;
Zamiast orłów ludzkie płązy
Drogę przeszły mu sto razy,
Strojne w blichtr i szych...

Ledwie czasem w owej głuszy
Podróżnego smętny śpiew,

Idąc w głębie dobrej duszy,
Harf drzemiących struny ruszy,
Jak wiatr liście drzew.

Więc już serce mu kołata,
Że odnalazł drogi kres...
Słucha – płynie pieśń skrzydlata,
Niby echo z poza świata
Przez dolinę łez.

I świat słucha – dziw go chwytą
Na ów niesłyszany dźwięk.
Zrazu milczy, potem zgrzyta:
Taka pieśń niesamowita,
Aż dziw jaki lęk!

Milknie śpiewak – pieśni wieszczę
Giną w ludzki wbite gwar...
Onby chciał im śpiewać jeszcze,
Czuje w piersi święte dreszcze,
Świętych uczuć żar.

Ale tłumy fala chyża
Pierzcha, tonie jak we mgle...
Jeden pielgrzym doń się zbliża,

Błogosławi znakiem krzyża,
Wzrok mu jasny śle.

I znów dalej w świat wyrusza
Przez szeroką zieleni pól,
A raduje się w nim dusza,
Że mu w polu łąy osusza
Wicher, stepów król.

Wicher jeno, lecz nie ludzie
Zasłuchani w świata szum,
Z dnia na dzień żyjący w nudzie,
W trwodze dusz i serc obłudzie,
Szary, senny tłum.

Mijał pielgrzym takie fale
Zimne, w lodu ścięte kry
I szedł dalej, szedł wytrwale,
Tylko w oczach jak opale
Błyszczały mu łąy.

Tak w podróży błędząc onej,
Dostrzegł wreszcie ojców dom,
Ojców chaty i zagony
I dąb ujrzał pochylony,
Strzaskany przez grom.

Usiadł pod nim – sen go nuży,
Na mech siwy chyli skroń,
Stargał resztkę sił w podróży,
Już i kij mu nie usłuży
Ni stopa ni dłoń...

Jakiś ból mu serce ściska,
W chorej piersi brak już tchu...
Oto chata przed nim niska,
Znane łąki i pastwiska...
Prędko wrócił tu!...

Z ponad łąki wstaje cicha,
Słodka jakaś kwiatów woń,
Od kielicha do kielicha
Wiatr ją pędzi i wydycha
Na szeroką błoń...

Słońce zgasło w mórz głębinie,
Z dolin już wypełza noc;
Bór i łąka w mrokach ginie,
Jeno z gór dalekich płynie
Dziwna jakaś moc.

Płynie, zda się, wraz z miesiącem,
Z wonią róży, falą wód,

Z szumem drzew i gwiazd tysiącem,
Słońc wieczornych światłem drżącym,
Jak niebieski cud.

Pielgrzym poi piersi wonią,
Słucha szumu sennych drzew,
Śpiewu wierzb nad wody tonią,
Słucha... lica mu się płonią,
Warem kipi krew.

Powstał – wzrokiem w przestrzeń sięga,
W mrok i ciszę skryty świat:
Oto ziemię z niebem sprzęga
Sina jakaś w dali wstęga,
Dróg przebytych ślad.

Wrócić znów na tamte błota,
Nagich gór skalisty złam?...
Kędy duszę rwie tęsknota
I wicher piaskiem w oczy miota,
Znowu wrócić... tam?!...

Wstać, pożegnać ojców łany,
Znowu między tłumy iść,
Krwawić dawne serca rany,

Być jak z dębu oderwany,
Party wichrem liść?

Pielgrzym patrzy w dal z rozpaczą,
Patrzy w ciemną drogi głąb;
Sosny nad nim rosą płaczą
I dąb szumi pieśń tułaczą,
Stary, dobry dąb.

Wtem z głębiny mrocznej świata,
Kędy dróg widnieje kres,
Wstaje jakaś pieśń skrzydlata
I cichutko z gór przelata
Na doliny łąz.

Znana pieśń!... Człowiecze gwary
Niegdyś ją strąciły w pleśń,
Teraz w niebo, jak przez czary
Białe wznoszą ją opary,
Cichą, słodką pieśń.

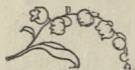
Więc nie wszystko, co w mrok padło,
Ginie tam rozbite w puch,
Więc gdy słońce dzienne zbladło,
Nocą błądzi jak widziadło
Zgasłej pieśni duch!

Idzie nocą jak pociecha,
Jako światło w kraje chmur,
Bratnim sercom się uśmiecha
I rozpierzchłe wiąże echa
W zgodny pieśni chór.

Pielgrzym słucha – pierś mu rośnie,
Z serca ulatuje żal,
Patrzy w ciemną dał radośnie,
Ku tej pieśni, życia wiosnie
Śle uśmiechy w dał.

I znów chwyta kij pielgrzymi,
Znowu świat przebiegnie wzdłuż,
Jeno idąc w tłum olbrzymi
Z ludźmi zwiąże się bratnimi
W bratni łańcuch dusz...

Warszawa, lipiec 1900 r.



Przekłady z niemieckiego.

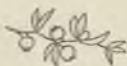
HOFFMANN VON FALLERSLEBEN.

KWIĄTEK.

Znam kwiecię jedno małe,
Nad wodą naszą kwitnie...
Ma oczka lazurowe
I patrzy... tak błękitnie!...

Nie liczne jego słowa,
Lecz gdy je powie skromnie,
Treść zawsze jednakowa:
— Nie zapominaj o mnie! —

Kraków 1892 r.



HENRYK HEINE.

GRENADYERZY.

Do granic francuskich szli dwaj grenadyerzy
Z rossyjskiej puszczeni ciemnicy,
A kiedy stanęli u Renu wybrzeży,
Łzy obom zabłyły w źrenicy.

Bo zaraz na wstępie wieść smutna ich wita,
Że droga ich Francya w niedoli,
Że armia francuska złamana, rozbita,
A cesarz, ich cesarz w niewoli...

Więc łkanie rozdarło im piersi i strugą
Łez gorzkich twarz ich zalana...
— Mój bracie — rzekł pierwszy — już umrę niedługo,
Sił nie mam i krwawi się rana...

A drugi mu na to: — Twe męki skończone...
I jabym chciał umrzeć... Daremnie!
We Francyi, za Renem mam dzieci i żonę,
Maleństwo poginie bezemnie. —

– O dzieciach nie myślę, za żoną nie płacę,
Nie ich to nędza mnie boli,
Gdy głodne, niech torby pobiorą żebracze,
Lecz cesarz, mój cesarz w niewoli!...

Kolego, już czuję, godzina uderza,
Gdy skończę, weź ciało mój stary
I zawieź gdzie Francyi kwieciste wybrzeża,
Gdzie szumią francuskie sztandary.

A krzyż honorowy i wstęgę czerwoną
Na piersi mi połóż, na blade
I celny karabin mi oprzej o łono
I przypasz do boku mi szpadę.

Bo pragnę spoczywać w mej ziemi ojczystej
Jak sztyldwach i czekać spokojnie,
Aż ozwie się trąbka i strzały i świsty
I tętent rumaków na wojnie.

A kiedy o grób mój uderzą podkowy,
Gdy cesarz weń raczy zadzwonić,
To z grobu wyskoczę i stanę gotowy:
Cesarza, cesarza osłonić!...

Lwów, luty 1893.

HOFFMANN VON FALLERSLEBEN.

DZIECIĘ.

I.

Piękną, jako śpiew słowika,
Jako blask porannej zorzy,
Jest dziecięcych ust muzyka
I twarzyczki wyraz hoży.

W modrym jego ócz kryształe
Lazur niebios błyszczy się,
Toż wesoło, poufale
Uśmiech nam dzieciątko śle.

Sercem i myślami swemi
Szukaj sam dziecięcych dróg,
Bo im jeszcze tu na ziemi
Swe królestwo oddał Bóg.

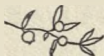
II.

Ile w spojrzeniu jednym
Dziecięcych ocząt łśni,
To nawet wiosna tyle
Nadziei nie da ci.

Czem dla nas woń pierwiosnka
Bijąca z śnieżnych brył,
Tem dla matczynej duszy
Dziecięcia uśmiech był.

Wyrośnie jako róża,
Od wszelkich wolne,
By ci odnowić, matko,
Twej wiosny błogi czas.

Warszawa, 28 stycznia 1898 r.



FRYDERYK HR. STOLBERG.

PIEŚŃ CHŁOPCĄ.

Mam w ręku moc i ojców siłę,
Zmężniała moja dłoń,
Wawrzyny mi wojenne miłe,
O, daj mi ojczyzna broń!

Już dosyć mi dziecinnej gry,
Dość zabaw i pokoju
I jabym umiał jako ty,
Za kraj mój walczyć w boju.

Ja zawsze w snach marzyłem o tem
Jak bój wkoło mnie wre,
Wojenną wrzawą i łoskotem
Pieściłem uszy me.

Z tureckich walk obudzał mnie
Mój krzyk i szcęk pałaszy

I wczoraj jeszcze w takim śnie
Zrąbałem głowę baszy.

Gdy świeżo naszej armii znak
Szeleścił przed szeregiem,
Gdy huzar dzielny jako ptak
Przelatał chyżym biegiem:

To gapił się chłopięcy rój
Na widok dział i koni,
Lecz jam w tej chwili, ojczy mój,
Próbował sił mej dłoni.

Mam w ręku moc i ojców siłę,
Zmęźniała moja dłoń,
Wawrzyny mi wojenne miłe,
O, daj mi ojczy broń! —

Warszawa, w marcu 1898 r.



MIKOŁAJ LENAU.

TUŁACZ POLSKI.

W arabski step, bez rzek i wód,
W Nomadów kraj nieżyzny,
Zbłąkany Polak stopy wiódł
Po stracie swej ojczyzny,
I dziwi się, że w poniewierce
Nie pęknie mu zbolełe serce.

Bo słońce mu przepala skroń
I ogień w żyłach nieci;
W promieniu tym połyska broń
I sama ogniem świeci.
Czyż w zimnej stali słońca skwar
Rozbudzić pragnie zemsty żar?..

Od żarów owych schnie mu rdzeń,
Więc chyli skroń omdlałą,

Jak gdyby chciał w swój własny cień
Zanurzyć biedne ciało,
Jak kret się w głębie ziemi wryć
I własnych łez strumienie pić.

Lecz Polak idzie w skwarną dal
Niepomny utrudzenia,
Bo siły mu dodaje żal
I świeżych walk wspomnienia;
Czasami staje, patrzy hen:
— Kościuszko! — woła jak przez sen.

Aż kiedy noc przyniosła chłód,
Zobaczył ruń zieloną
I słodka pieśń ożywczych wód
Szła pielgrzymowi w łono
I trawy szum szeleścił mu:
— Tułaczu biedny, spocznij tu! —

Więc padł na ziemię. — Szumy drzew
I rzeki czyste zdroje
Nuciły mu wojenny śpiew
I wiodły go na boje,
A wiatr miotając liście palm,
Zaszumiał mu zwycięski psalm.

Aż oto z chmur wyblysnął w dal
Księżyc promień złoty,
A w świetle tem załśniła stal
I Beduinów groty...
Synowie pustyń spieszą wraz
Napoić konie w nocny czas.

I coraz głośniej tętent brzmiał,
Załśniły jaśniej bronie,
Na przegon z wichrem pędzą w cwał
Arabskie, dzielne konie;
Lecz Polak śpi zmorzony snem,
Ulata myślą do swych ziem.

Z wesołym krzykiem dziki lud
Podjeżdża do źródliska,
Wtem patrzy, w dali... dziw, czy cud! : —
Pod drzewem miecz połyska,
A obok w bladym świetle lśni
Matowa skroń i jasne brwi.

Wpółdziki lud zjawisku rad
Śpiącego wkrąg otacza,
Podziwia blizn zaszczytnych ślad
I bladość lic tułacza,

Z szacunkiem więc podchodzi doń
I patrzy nań i chyli skroń.

A jeden z nich, sędziwy mąż
Ostrożnym idąc krokiem,
Przesuwa się wśród palm jak wąż
I stawia mu pod bokiem,
Co najlepszego wydał step:
Palmowe wino, ryż i chleb.

I zajął potem miejsce swe,
W Nomadów usiadł gronie,
A owi milcząc patrzą się
Na blade gościa skronie,
Aż strząsnął snu długiego brzemię
Ów mąż, co stracił kraj i ziemię.

Gromada krzykiem wita go
I śpiewa ku uczczeniu,
A dzikie pieśni w stepy mkną
I giną w oddaleniu...
A celem ich — dla gościa cześć,
A krwawa zemsta — to ich treść:

O, jak ich słucho polski lew,
Jak chwyta miecz do ręki,

Bo oto, zda się, słyszy śpiew
Na polach Ostrołęki!
Więc przez pustyni ciemny mrok
Za wrogiem śle sokoli wzrok.

Lecz naraz pierś mu rozdarł jęk,
Ogląda się zdumiony...
Ten step... ci ludzie... pieśni dźwięk,
To obce, obce tony!...
Więc pojął sercem swem tułaczem
Ułudę snu – i wybuchł płaczem...

Warszawa, 16 kwietnia 1898 r.



MACIEJ CLAUDIUS.

Historya o Goliacie i Dawidzie.

Żył dawniej Goliat chłop na schwał
I silny jako tur,
Galony na kołnierzu miał,
Na czapce kitę z piór
I mundur nosił z *drap d'argent*,
Tak wszystko podług *advenant*.

A że miał przytem dziki wzrok
I wąsy jako sum,
Wyglądał więc jak w bajce smok
Lub czarta bliski kum.
I włócznie miał, gdy wierzyć chcesz,
Tak długą, jak najwyższa z wież.

Więc pysznym był, bo ufał kiep
W potężną ręki kość,

Bo, choć miał dziwnie duży łeb,
Rozumu nie miał dość.
Więc łamał zębra jako krze,
Jehowę łył i chełpił się.

Tak w pysze chodził dzień po dniu,
Z Izraelitów drwił:
-- Gdzież jest ów mąż — niech stanie tu,
Ktokolwiekby to był,
Czy swat, czy brat, niech przyjdzie sam,
Bokerską sztukę dobrze znam. —

Wtem pasterz młody idzie doń,
Przybliża się na strzał,
A tylko kij za całą broń
I kamień w procy miał
I mówi: — Szablę masz i łuk,
Mnie tarczą będzie jeno Bóg.

I lichą swą podnosząc broń,
Głaz miota z wszystkich sił,
Goliata trafia w samą skroń,
Że padł jak długi był,
A Dawid miecz mu jego wziął,
Zamachnął się i głowę ściał.

Galonom swym nie ufaj zbyt
I czapce z kitą też,
Bo harda mowa głupstwa szczyt!
Z olbrzyma przykład bierz;
Zaś jak się masz potykać wciąż,
Niech uczy cię ów mniejszy mąż. —

Warszawa, w listopadzie 1899 r.



FELIKS DAHN.

POCHÓD GOTÓW.

Hej ludy! – Gotom z drogi precz!
Ostatnie wiem kroki –
Nie złoto stąd unosim, lecz
Zmarłego króla zwłoki.

Przy mieczu miecz, przy dłoni dłoń,
W północne dążym śniegi,
Aż hen, gdzie mórz sinieje toń,
Gdzie wyspy Thule brzegi.

Bo tylko tam rycerska cześć
Jaśniej jeszcze dumnie,
Więc króla tam idziemy grześć
W dębowej, prostej trumnie.

Więc precz! – Od Romy idziem wzgórz,
Gdzie zdradą nasi marli,
Nam jeno trup pozostał już,
Koronę – wyście zdarli!...

Warszawa, w październiku 1899 r.



GABRYEL SEIDL.

FALSZERZ MONETY.

Przed sądem stanął woźny: — Panowie, w bramie tam
Człek jakiś czeka; przyszedł oskarżyć siebie sam;
Ma włosy poczochrane, wzrok błędny, dziki gest,
Jeżeli to nie zbrodniarz, waryatem pewno jest. —

— Wprowadźcie go — rzekł sędzia. Stróż wiedzie go
przed sąd...

— Panowie — mówi obcy — pozwólcie wyznać błąd...
Wszak sądzić i ukarać, to święty urząd wasz,
Osądźcież mój występki i dajcie mnie pod straż.

Ze zbrodni któraż pierwsza? — — Morderstwo ciała
i dusz. —

Wybuchnął śmiechem obcy: — A po tej zbrodni
cóż? —

— Jest zdrada — rzecze sędzia. — — A trzecia jak się
zwie? —

— Fałszerstwo. -- — Dość panowie!... będziecie
sądzić je.

O tak, jam był fałszerzem!... Lecz czemu zbrodnia ta
Aż trzecie z rzędu miejsce w kodeksie waszym ma?...
Ja twierdzę, że jest większą niż mordu podły czyn,
Niż zdrada... O sędziowie, nie szczędźcie moich win!

– Więc fałszerz? – pyta sędzia – banknoty biłeś złe?
Ze współnikami?... powiedz, otwarcie przyznaj się. –
Lecz pielgrzym rzecz drwiąco: – Panowie, zły sąd

wasz,

Z ksiąg waszych wzrok przenieście tu wprost na moją
twarz...

Widzicie na niej ślady piękności, męstwa dar,
Zwiędniętych kwiatów blaski, wygasłych ogni żar?...
Przekłęty wdzięk, co uwiódł fałszywym blaskiem róż
Dziewczątka, nie znające podłości ludzkich dusz!

Oddała mi swe serce i duszę... Dziwny szal!...
Bo cóżem ja, panowie, za takie skarby dał?
Fałszywe przysięg złoto – biedaczka brała je,
Fałszywe łez liczmany – cieszyła nimi się...

I podrabiałem cnotę, choć patrzył na mnie Bóg,
Fałszywą, złą monetą płaciłem święty dług...
Mieniła się bogatą, gdym fałsz jej kładł u stóp,
A kiedy błąd poznała, cichutko legła w grób.

I czym jest mord panowie?... Zabija szybko nóż...
Czem zdrada?... Wszak na miejscu ofiarę bierze z dusz!
Fałszerstwo stokroć gorsze, bo wiarę niszczy wprzód,
A potem serce truje i szyci z świętych cnót.

Ogłoścież więc mój wyrok — najcięższą przyjmę z kar,
Nie mogę znieść tej zbrodni, bo pali mnie jak żar.
Noc w noc wołanie słyszę: — Fałszerzu!... płac swój
dług,
Spłac dług!... Niepodobieństwo!... Zbyt wielki, widzi
Bóg!...

Wzruszeni sędzie wstają i mówią wszyscy wraz:
— Przed Bogiem się oskarżcie, niech On osądzi was,
Nam karać serc nie wolno, sądzimy tylko czyn,
W przestępstwie dusz fałszerstwa nasz kodeks zwalnia
z win.

Tu pielgrzym zawył śmiechem i wijąc się wśród mąk:
— O piekło! — krzyknął — nie być katowskich
godnym rąk! —
I poszedł żywiąc rozpacz, fałszerstwa gorzki plon,
Aż zdrojom łez pokutnych położył tamę — zgon. —

Warszawa, sierpień 1900 r.

GABRYEL SEIDL.

UMARŁY WOJAK.

Na dalekiej, obcej niwie
Leży żołnierz zmarły z ran;
Nieliczony, zapomniany,
Choć do boju szedł jak w tan.

Jadą strojni pułkownicy,
Krzyżów na nich błyszczący hart,
Ani myślą, że ów biedak
Był też może krzyża wart!...

Za niejednym, co tam padli,
Głośne w niebo skargi szły,
Jeno za nim nikt nie ronił
Ani słowa, ani łzy.

Tylko tam, w samotnym domku,
Zdała od wojennych burz,
Siedzi ojciec przeczuć pełen,
Mówiąc: — Pewnie poległ już!...

Obok matka zapłakana
Głośno łka: — O, biada nam,
Pomarł biedak... dziś o trzeciej
Scienny zegar stanął sam! —

Blednie na to dziewczę młode,
Pierś przyciska z wszystkich sił:
— Umarł — szepce — lecz w mem sercu
Będzie wiecznie, wiecznie żył!...

I trzy pary oczu razem
Łącząc żal i smutek swój,
Za poległym ślą biedakiem
Łez serdecznych cichy zdrój.

A łązy niebo jasne zbiera,
Na obłoczek zbiera łązy
I na błoń daleką niesie,
Barwiąc tęczę sine mgły.

Tam z obłoczka je wylewa
Rosą na żołnierza skroń,
By nie leżał nieplakany,
Gdzie daleka, obca błoń...

Warszawa, wrzesień 1900 r.

GABRYEL SEIDL.

ZEGAR.

Gdziekolwiek idę, zawsze mój zegar z sobą mam;
Godziny wszystkie bije, czas wiernie z niego znam;
Bo wielkim Ten jest Mistrzem, kto werk sporządził
w nim,
Choć jego bieg nie zawsze odpowie chęciom mym.

Częstokroć pragnę, aby przyspieszył ruchy swe,
To znów, by zwolnił biegu, gdy nazbyt żywo mknie.
W cierpieniach mych i szczęściu, na każdy życia fakt,
Wśród burz i chmur żywota wybijał wiernie takt.

Więc bił przy trumnie ojca, gdy brata kładli w grób,
W jutrzence mej miłości, gdy ksiądz nam dawał ślub,
Przy dziecka mego łożu i często będzie bił,
Gdy dni jaśniejsze przyjdą, a Bóg użyczy sił.

A kiedy zbyt się spaźniał w pochmurną życia noc,
To Mistrz wspaniałodusznie poprawiał sprężyn moc

Lecz kiedyś stanie cicho i już na wieków wiek,
Bo nikt go nie potrafi prócz Mistrza puścić w bieg.

Naonczas stanę przed Nim, przed Tym, co w dali tam,
Po drugiej stronie światów, w błękitach mieszka Sam,
Powrócę Mu ten zegar i powiem jeno to:

— Jam nic nie popsuł Panie, Tyś sam powstrzymał
go. —

Warszawa, wrzesień 1900 r.



LUDWIK UHLAND.

Podróż morską króla Karola.

Król Karol morzem płynął raz
W dwunastu druhów gronie,
Gdy wicher mórz w posępny czas
Poburzył wodne tonie.

Więc Roland rzecze: „Sprawa zła,
Zażywać umiem broni,
Lecz wątpię, czy mnie sztuka ta
Przed ciosem burz osłoni.“

Pan Holger na to marszcząc brew:
„Przy harfie śpiewam czasem,
Cóż z tego mi, gdy wszelki śpiew
Wiatr głuszy swoim basem“.

Pan Oliwer wzrok tęskny śle,
Na miecz swój patrzy wielki:
„Pal sześć, co ze mną stanie się,
Lecz żal mi tej szabelki!“ —

Ganelon zezem patrzy w ką
I mruczy tak na stronie:
„O gdybym ja mógł umknąć stąd,
To was niech czart pochłonie!“

Znów biskup Turpin tłumiąc żal:
„Jam sługa — rzecze — boski;
Przyjdź Jezu, przyjdź po grzbietach fal
I uśmierz nasze troski.“

Graf Ryszard piekieł wzywa bram:
„O czarty! — woła — Nieraz
Świadczyłem już przysługi wam,
Ratujcież wy mnie teraz“.

Pan Naimes mówi: „Radę dać
Umiałem, lecz na Boga!
Tu, widzę, słodkiej wody kadź
I rada nazbyt droga“.

Pan Riol rzekł: „Mam życia dość
I myśli nie tak płoche,
Toż wolę w ziemi złożyć kość,
Bo tu za mokro irochę.“

Zaś Guy, odważny jako lew,
Półgłosem począł nucić:
„O gdybym tak miał skrzydła mew,
Do lubej chciałbym wrócić!“

A graf Garein, rycerski pan,
Rzekł patrząc w tonie śmiało:
„Na honor, wolę wina dzban,
Niż wody beczkę całą.“

Zaś Lampert rzekł: „Ot życia treść!
Zginiemy bez ochyby,
Bóg świadkiem, wolę rybkę zjeść,
Niż by mnie zjadły ryby.“

Pan Gotfryd zaś: „Skończyło się,
Nagrodę Bóg wypłaci,
Niech tylko tak osądzi mnie
Jak resztę moich braci.“

Król Karol sam nie trwonił słów,
Kierując wprawnie łodzią,
Aż słońca blask zajaśniał znów
Nad ciemną chmur powodzią. —

Warszawa, październik 1900 r.



HENRYK HEINE.

PIELGRZYMKA DO KEWLAAR.

I.

Przed oknem stała matka,
Syn chory leżał tuż:
„Nie zechcesz wstać Wilhelmie?
Processya wyszła już.“

„Jam taki słaby matko,
Nic już nie cieszy mnie,
Wspominam zmarłą Gretchen
I ból mi serce rwie.“

„Więc wstań, pójdziemy do Kewlaar,
Przez kwiatów pójdziem łan,
Tam ci już Matka Prześwięta
Wygoi serce z ran.“

Kościelne grają organy,
Chorągwi słyhać szum,
Z miasta Kolonii nad Renem
W processyi rusza tłum.

I matka z synem pospiesza,
W piersi oboje się biją,
Gdy chórem śpiewa im rzesza:
— Bądź pochwalona Maryo! —

II.

Dziś w Kewlaar Boża Panienska
Z brylantów samych ma strój,
Dziś wszystkich musi przyjmować;
Ciężki zaprawdę to znój.

U nóg Jej chorzy składają,
Prośbę zanosząc i ślub,
Dary woskowe i wota,
Siła rąk z wosku i stóp.

Kto dłoń przyniesie, to w dłoni
Cierpienia złagodzi szął,
A stopę z wosku przynosi,
Kto nogę bolącą miał.

Niejeden tu przyszedł o kuli,
Co sunie ochoczo dziś w tan,
Ów gra na lutni, co przedtem
Pełno na palcach miał ran.

Bierze więc matka gromnicę
I serce ulepia z niej:
„Zanieś to Bożej Dziewicy,
Bóg da, że będzie ci lżej.“

Syn zabrał serce woskowe,
Przed obraz niesie ów dar,
Łza mu wypływa z powieki,
A z serca prośba jak żar:

„Zdrowaś Ty, Panno Maryo,
Pan z Tobą, Bóg nasz i Król;
Tobie, Dziewico anielska,
Powierzam krwawy mój ból...“

Mieszkałem z Matką w Kolonii,
Gdzie lśni do słońca nasz Ren...
Piękne to miasto i ludne,
Życie tam biegnie jak sen.

A obok Gretchen mieszkała...
Lecz zmarła... zabrał ją Pan...
Z wosku Ci serce przynoszę,
O Maryo, ulecz je z ran.

Uzdrow mi serce Panienko,
Nim rany całe pokryją,
Będę Cię słauił piosenką:
— Bądź pochwalona Maryo!“ —

III.

Gdy syn i matka zasnęli,
Na izbę nocny padł mrok,
Zjawila się Matka Boża,
Cichutko wiodąc swój krok.

I pochyliła się lekko
Nad śpiącym, białą swą dłoń
Na sercu wsparła mu cicho
I uśmiechnęła się doń.

Widziała to matka we śnie,
Wśród nocy cieniów i mgły,
Potem się ze snu zbudziła...
Tak długo wyły dziś psy !...

I oto w łożu spoczywał
Jej syn – lecz martwy był już...
Na białych licach igrała
Purpura słońca i zórz.

Więc splotła matka swe ręce,
Mgły się przed okiem jej wija,
Lecz śpiewa Bożej Paniencie:
– Bądź pochwalona Maryo! –

Warszawa, w październiku 1900 r.



WIKTOR VON SCHEFFEL.

PIEŚŃ WĘDROWNA.

Gór szczyty się mienią
Młodziuchną zielenią
I błyska już kwiat;
Wędrowni pieśniarze
Szybują w bezmiarze —
Ja, pędzę w świat!...

Za wodza w podróży
Niech słońce mi służy
Promieniem swych szat;
Niech cienie me ciska
Na ruń uroczyska —
Ja, pędzę w świat!...

Mem państwem przestworze,
We mchu moje łoże,

A wicher to mój brat;
Dni życia niech prześni,
Kto chce w swojej pleśni,
Ja, pędzę w świat!...

Warszawa, w grudniu 1900 r.



WIKTOR VON SCHEFFEL.

BITWA TEUTOBURSKA.

Gdy Rzymianie zbyt zuchwali
W kraj północny legie stali,
Jechał przy odgłosie trąb
Feldmarszałek, chłop jak dąb,
Pan Quintilius Varrus.

Ale w teutoburskim lesie,
Hu! Jak wicher liście niesie!
Lecą kruki, lecą psy,
Wietrzą jakiś zapach mdły,
Niby krew i padło.

Nagle z lasu gęstej cieśni
Wypadają męże leśni,
Tłum Cherusków z księciem wraz,
Idą, aż się trzesie las,
Przeciw legii rzymskiej.

Oj, toż było krzyku wiele,
Gdy poczuli włócznie w ciele!...
Jazda tylko czując swąd,
Zręcznie w tył zmieniła front,
Miała bowiem konie.

O, Varrusie jenerale!
Czemuż świat ten nie bez „ale“!
Biedak w bagno wpadł po pas,
Zgubił but z kaloszem wraz
I grzął coraz głębiej.

Czując, że w tem błocie skona,
Rzekł do swego centuriona:
— Wyjmij bracie miecz swój wnet,
Zamknę oczy, pchnij mnie w grzbiet,
Wszystko djabli wzięli!

Między owym Rzymian szykiem
Był natenczas ochotnikiem
Scewola, kandydat praw.
Ślepy losu zrządził traf,
Że go przyłapano.

Temu smutniej poszło w śmierci,
Bo spleatano go na ćwierci,

Przedtem jednak wbito nóż
W usta i przez ciało wzdłuż
Aż do „corpus iuris“.

Kiedy było już po walce.
Księżę Herman strzepnął palce
I chcąc oblać taki bój,
Niemców sprosił w zamek swój
Na śniadanie sute.

Jedne tylko Rzymianiny
Niewesołe mieli miny.
Kiedy August obiad jadł,
Do komnaty poseł wpadł,
Smutne niosąc wieści.

Cesarzowi z przerażenia
Utkwił w gardle kęs jelenia,
Przełknął wprzód, a potem w głos:
– Varre! – krzyknął – cóż za los!
Redde legiones!...

Schmidt, niewolnik z chytrym gestem
Rzekł do siebie: „Głupcem jestem,

Jeśli on je ujrzy znów,
Bo nikt już nie będzie zdrów,
Kto utracił życie.“

Dziś, gdzie było owo bagno,
Niemcy pomnik stawiać pragną;
Jest już cokół, lecz kto tam
Groszy da na posąg sam,
Pan Bóg wie to jeden! —

Warszawa, w grudniu 1900 r.



FR. SCHILLER.

NOWEMU WIEKOWI (1801 r.).

Młody druhu!... Czemuż nie w pokoju
Biegiesz do nas, wolny niosąc śpiew?...
Wiek nam zgaśł w potokach krwi i boju,
Ty znów ciskasz ludom łzy i krew.

Węzły bratnie przeciął nóż Kaima,
Błogi pokój zniknął niby sen;
Ani morze wojen już nie wstrzyma
Ni Bóg Nilu ani stary Ren.

I potężne dwa mocarstwa walczą
O jedynowładczy świata tron;
Chcąc uzyskać ludów dań służalczą,
Wznoszą jedni trójząb, drudzy grom. —

Zewsząd płyną ku nim złote fale...
Jako Brennus niegdyś w srogi czas,
Dumny Francuz rzuca miecz na szalę,
Miecz ze spiżu, ciężki jako gład.

Floty swe Brytyjczyk niby sieci,
Niby nóg polipa rozpiął zwój
I kraj wolnych Nereusza dzieci
Zamknąć chce jak własny skarbiec swój.

Aż na biegun w niedostępne śniegi
Wiodą kręte szlaki jego dróg;
Wszystkie wyspy, wszystkie zajął brzegi,
Jeno niebo zamknął przed nim Bóg.

Darmo wzrok się po atlasach błąka,
Darmo szuka kraju bożych łask:
Gdzie ludzkości wiecznie kwietna łąka,
Gdzie wolności świta jasny brzask.

Świat bez kresów leży ci przed okiem,
Żeglarz go nie zmierzy ani ptak...
Czemuż na tem miejscu tak szerokiem,
Dla szczęśliwych kilku – ziemi brak!...

W serca cichą ustroń spiesz jedynie,
Gdy cię życie kala mnóstwem plam;
Wolność błyska jeno w snów krainie,
Piękno tylko w pieśni kwitnie nam. –

Warszawa, w grudniu 1900 r.



SPIS RZECZY.

	8tr.
Elegia na śmierć Wł. Scipiona	5
Elegia na śmierć I. Teligi	7
Kwiat róży	10
Memento	12
Oni	18
Mały kapral	20
Demon	31
Pani E. M.	32
Trzy groby	35
Przed wiosną	39
Ceniom Asnyka	43
Naszym pieśniarzom	47
Do niektórych poetów	49
Naszej matuchnie	58
Do wiosny	59
W noc letnią	61
Z wędrówki po ziemi:	
<i>a)</i> Ojców	66
<i>b)</i> Puławy	67
I. J. Paderewskiemu	68
Chora matka	71
Widzenie	76

Z wędrówki po ziemi:	Str.
<i>c)</i> Puławy	99
<i>d)</i> Częstochowa	100
Czarna chwila	101
Z listu do P. Z. T.	109
Pielgrzym	113

PRZEKŁADY Z NIEMIECKIEGO.

<i>H. v. Fallersleben.</i> Kwiatek	123
<i>H. Heine.</i> Grenadyerzy	124
<i>H. v. Fallersleben.</i> Dziecię	126
<i>F. Hr. Stolberg.</i> Pieśń chłopca	128
<i>M. Lenau.</i> Tułacz polski	130
<i>M. Claudius.</i> Historia o Goliacie	135
<i>F. Dahn.</i> Pochód Gotów	138
<i>G. Seidl.</i> Fałszerz monety	140
<i>G. Seidl.</i> Umarły wojak	143
<i>G. Seidl.</i> Zegar	145
<i>L. Uhland.</i> Podróż króla Karola	147
<i>H. Heine.</i> Pielgrzymka do Kewlaar	151
<i>W. v. Scheffel.</i> Pieśń wędrówna	156
<i>W. v. Scheffel.</i> Bitwa teutoburska	158
<i>Fr. Schiller.</i> Nowemu wiekowi	162

INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAN

BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63



<http://rcin.org.pl>



F

3984